

DZIS: JUTRO

KATOLICKI TYGODNIK SPOŁECZNY

Rok III

Warszawa, 3 sierpnia 1947 r.

Nr 31 (88)

TREŚĆ NUMERU: A. Atto-Tonhuru: Krwawy spadek, M. J. Kononowicz: Kieszonkowa mogiła, R. Stiller: Fantazja o 73 batalionie St. Podlewski: Próba bilansu strat powstania warszawskiego, M. Pruszyński: Wojna w Libii, T. Burzecki: Tak nie było, j. d.: Szekspir w Warszawie, K. Kłóś: Noc zaduszna roku 1944, Z. Komorowski: To było na Łęczycach, St. Podlewski: Przemarsz przez piekło, K. K.: Marokko zagrożone—Szeroki horyzont.

Jan Dobraczyński

LIST DO NIEOBOBECNEGO

Pamiętam to pytanie, które mi postawiłeś chyba w przeszłym hoteliku na Meyerbeers Straat w Brukseli; może zresztą to było na St. Honoré w Paryżu, lub na S. Stefano Rotondo w Rzymie. Zapytałeś cicho — i trochę jakby nieśmiało:

- Słuchaj. Jak tam jest teraz?
- Tam. To znaczy gdzie?
- No, na Starówce...

Zrobiłem nic nie znaczący gest ręką. Jak by ci na to odpowiedzieć? Na te sprawy trzeba patrzeć. Kiedyśmy odchodzili wszystko płonęło. Noc konała. Na niebie zapalały się upiorne rakiety. Punkta ekrazytówki. Zanosily się jękiem serie kaemów. Potem nadlatywały chwile dyszącej ciszy. Gdy wróciłem obraz był już inny: ruiny, zwały cegieł, obalone ściany zapach dymu i wilgoci, trupie cuch, dobywający się z pod ruin, krzyże, krzyże, nieuprzątnięte barykady, kości ludzkie rzucone beztropko gdzieś pod ścianę... Potem obraz się zmienił. Ruiny pozostały, ale „dopasowały“ się jakoś do życia. Porosły trawą. Dużo jest trawy. Wiesz — trawa na Freta, na Podwalu, na Kilińskiego. A także są tu i tam nowe domy...

Tej trawy nie zrozumiałbyś. Dlatego nie odpowiedziałem ci nic. Zaczęliśmy mówić o czymś innym. Nie chciałem ci psuć nastroju, w jakim odczytujesz swój powstańczy poemat, tego twego uśmiechu. Jakim odpowiadasz na pełne podziwu zapytania ludzi: „więc pan tam był naprawdę?“

Tak — tej trawy nie zrozumiałbyś. Wiesz — parę razy do roku idę na Starówkę. Mam na jej ulicach wydeptany ślad. Doprowadza mnie wkońcu do domu na Kilińskiego. Stoję przed zawałoną ścianą i myślę. Czasami długo. Pada deszcz i ludzie patrzą. Zresztą nie dziwią się. Tu wszyscy przychodzą patrzeć. Przypominam sobie... Tutaj leżą nieodnalezieni — nazwijmy ich tak: — Basia i Jerzy. To nie ważne, jak się nazywali. To jedno może tylko jest ważne, wiesz, że byli przygodnymi żołnierzami tego batalionu. Po prostu gdy powstanie przyszło — oni się do batalionu przyłączyli. Myśmy do niego należeli na całym tym nienapoleońskim szlaku: od Ogrodowej do Jasnej. Nawet wcześniej... A przecież oni tu leżą: a ty zaś czytasz swój poemat tam...

Zadawaliśmy sobie nieraz pytanie, jaki miała sens ta walka. Jeszcze jedno beznadziejne, bezmyślne powstanie. Powstanie „po polsku“ — bohaterskie, a politycznie samoświecące? Przypomnę ci jedną scenę.

To było akurat w przeddzień. Łączniczka przyniosła rozkaz. Stańmy się osłupieni. Jutro, siedemnasta? Znalizmy dobrze katastrofalny stan uzbrojenia oddziału. Już te pierwsze koncentracje powiedziały nam o tym, czego możemy oczekiwać. Jeden z nas wziął w rękę pistolet. Wtedy łączniczka krzyknęła: „Pan tego nie zrobi!“ To było wtrząsające. Trochę patetyczne, trochę może śmieszne. Nie było w nas zapalu. Przynajmniej się — byliśmy niespokojni. To była pierwsza bezsenność z cyklu wielu bezsenności.

Wiedzieliśmy, że stoimy wobec czegoś co pachnie tragedią.

Powiedz sam. Ci, którym powierzyliśmy naszych żołnierzy — zdecydowali. Nie było odwrotu. Trzeba było iść. —

Zeszliśmy się na koncentrację. Mała furtka, biały mur, duże pokoje zastawione dziecinnyimi ławeczkami. Pierwsze strzały. Wtedy zapomnieliśmy o naszych niepokojach. Walka, na którą czekaliśmy, przyszła. Byliśmy podnieceni.

Pamiętasz ten niewielki człog, który się zablakał na Białą...?

Myśl błądzi chętnie po tamtych dniach. Wyławia z pamięci twarze, wydarzenia. Koło nas nagle zaczął się krąg ludzi przerzedzać. Padł ten, zginął tamten. Janek wyszedł wieczorem — i nie wrócił. Janusz i Olgierd poszli do drukarni — i nie wrócili. Coraz mniej ludzi wracało. Nawet nie mogliśmy zapamiętać ich ostatniego spojrzenia. Pewnego dnia rozmawialiśmy — tam, na Długiej — z Pietrzakiem. Nerwowo palił papierosa, poprawiał sznurowanie swej „tygrysy“ bluzy. W godzinę później już nie żył. Czy stać nas było wówczas na uświadomienie sobie, jak wielką ponieśliśmy stratę?

Tak wtedy była tylko walka. Pozycja na Mostowej lub na Bonifraterskiej. Co godzina warkot pikujących „Junkersów“, co kwadrans „szafa“ co 2 — 3 minuty granatnik lub pocisk artyleryjski. I wiesz — o to nie mam do siebie żalu, że wtedy obojętną mi była każda ofiara. Tylko nie moge zro-

zumieć, że tak inaczej patrzymy na te sprawy dziś.

Mnie się wydawało i wydaje, że powstanie było tylko barierą na naszej drodze. Trzeba było przez tę barierę przeskoczyć. Ciężki był ten skok. Nawet nie przeczuwaliśmy, że tyle on będzie kosztował. Liczyliśmy się wprawdzie z ofiarami. Już od 42-go roku — od roku zdecydowania się na stworzenie A. K. — wiedzieliśmy, że poddamy naszych żołnierzy pod dowództwo ludzi bardzo nam obcych. Ale uważaliśmy, że tak trzeba. Choć przeczuwaliśmy, że przyjdzie naszym chłopcom zapłacić krwią za jedność organizacji wojskowej — wydawało nam się, że powinniśmy tak postąpić. Możemy się i mylić. Ale mnie się wydaje, że gdy idzie o sprawę wielką, największą, to przecież trzeba jej poświęcić wszystko. Może się nam zdawać, że Polskę tylko my potrafimy dobrze prowadzić. Lecz jeśli prowadzi ją ktoś inny, to nam nie wolno, jemu na złość, Polsce szkodzić.

Tak rozmawialiśmy wtedy. Tak też ci mówiłem podczas naszej ostatniej rozmowy w Sandbostel. Kwietniowy deszcz parował z drutów i z dachów. Kaluże — niby kawały zbitego szkła — leżały pod nogami. Tupnąłeś nogą. Krzyknąłeś:

— Mylisz się! Mylisz się! Nigdy do t a k i j Polski nie wrócę!
— A ja wrócę... — powiedziałem. — Nie wiem kim będę mógł być w Polsce. Nie wiem co będę mógł robić. Może będę pisał książki, może zamiatał ulice. To nie najważniejsze. Polsce można służyć w rozmaity sposób, ale Polsce trzeba służyć.

W trzy tygodnie potem wracałem. Pamiętam tę zupełnie inną majową zielen po tej już stronie Odry. Na stacji Kaczory dzieci witały wracających, powiewając świeżymi gałęziami. Oszołomiony patrzyłem na nagle odkryte miasto. Błędnie — potykający się ze zmęczenia pielgrzym — wędrowałem przez most na Wiśle. A ledwo nieco odetchnąłem, poszedłem na Starówkę.

Starówka była wtedy pustkowiem. Można było sądzić, że tu już nikt nigdy nie wróci. A przecież była w tych murach taka jakaś siła, że stojąc u stóp rozprutego domu na Kilińskiego doświadczyłem uczucia, iż nawet padając w skoku przez barierę — nie umiera się jeszcze. Ojczyzna żyje „póki my żyjemy“ — ale też póki żyje Ojczyzna nam umierać nie wolno. Powiesz: truizm! banał! Masz rację. Truizm i banał. Ale czasami najtrudniej jest banał przeżyć. Nie tylko w nas walczy chęć życia przeciwko konieczności śmierci, ale często — po dniach bolesnych — walczy w nas chęć śmierci z nakazem życia. Dziś się może komuś wydawać, że śmierć na Starówce była rzeczą tragiczną. Ale to jest aspekt tych co zostali. Dla ginących śmierć na Starówce (śmierć ale nie umieranie!) była czymś pożądanym, pięknym, czarownym. Nie wiem czy tego doświadczał: żalu że tam nie poległ.

Łatwo było zginąć na Starówce, łatwo i prosto. Ale ciężko było, stojąc wobec martwoty ruin, powiedzieć sobie: trzeba dalej żyć. I to żyć nie tam gdzie ty byłeś: na bajkowym Côte d'Azur, na białych mostach nad burą Sekwana, w czarownym Neapolu, w szarych lecz dostatnich domkach flamandzkich. Miło jest być gościem w pięknym kraju. Trudno jest — być gościem w rozwalonym domu.

Wytyczne

SENS ŚMIERCI

Oceniając rocznicę 1 sierpnia z punktu widzenia sensu politycznego, znajdujemy słowa twarde, pełne potępienia dla nieodpowiedzialności przywódców powstania. Krytyka historyczna wypadków sierpniowych posiada ogromną wartość wychowawczą dla społeczeństwa i bezstronny jej rozwój jest niewątpliwie potrzebny.

Sama jednak krytyka jako stosunek do powstania nie wystarcza. Nie załatwia też sprawy podziw dla heroizmu naszych poległych kolegów. W tych, którzy przeżyli, w nas wszystkich, matkach, ojcach, rodzinach, przyjaciółach poległych powstaje bunt.

Jeśli powstanie było błędem politycznym, to jaka ma być wymowa śmierci naszych najbliższych? Dla jakiego celu zginęli najlepsi, najzdolniejsi, najbardziej upoważnieni do kierowania kiedyś przyszłością narodu?

Powie ktoś — zginęli, by odkupić błędy innych Polaków, by stanąć przed tronem Najwyższego chór błagający o jasną przyszłość dla Rzeczypospolitej. Odpowiemy — ufamy, że tak jest — ale nie naszym ludzkim rozumem sądzić te sprawy. Tylko Bóg zna mistyczny sens śmierci — ofiary.

Powie ktoś — zginęli, by nas wychować swym przykładem. Jasne. Ale jaki jest prawdziwy wychowawczy sens ich śmierci. Heroizm — niewątpliwie tak. Nieprawdą jest, że jakiegokolwiek pokolenie, jakiegokolwiek naród może powiedzieć, że nie potrzebuje się już uczyć heroizmu. Polacy winni go się uczyć od poległych powstańców warszawskich. Napewno się przyda na dni wielkie i codzienne.

Bez względu na to, śmierć naszych najbliższych w powstaniu jest też potworną w swej bolesności lekcją rozumu politycznego dla każdego Polaka. Lekcja ta nie obraca się bynajmniej przeciwko samej zasadzie heroizmu, ale stwierdza, że postawa heroiczna narodu bez rozumu politycznego kierowników prowadzi do katastrofy.

Zatem wychowawczy sens ofiary powstańców sprowadza się do wspaniałego ideału heroizmu i nakazu zdobycia realistycznego rozumu politycznego. Naród polski, każdy Polak musi te dwie wartości połączyć, — inaczej zginiemy.

Wydaje się nam, że przyjaciele nasi, polegli w powstaniu przede wszystkim dla współczesnych Polaków. Siła wychowawcza powstania w swej prawdzie może najjaśniej przemówić do nas, którzyśmy znali poległych z codziennej walki i pracy. Do nas, którzy najbardziej jesteśmy w stanie odczuć wychowawczy nonsens ich śmierci. Dlatego niewolno nam się oddalać jakimkolwiek zapomnieniem od bohaterskich postaci naszych poległych kolegów. Wraz z nimi musimy iść przez całe życie, przez całą naszą działalność. Ból, który będziemy stale odczuwać, nauczy nas odpowiedzialności w wychowywaniu siebie i innych, w dążeniu do syntezy heroizmu i rozumu politycznego.

KRWAWY

Z dziejów walk powstańczych

Mimo to — nie zazdroścę ci. Jest jakiś wdzięk w tym, gdy się widzi nowe framugi w wypalonym szkielecie domu. Jest wdzięk w zmęczeniu, jakie się przynosi w sobie codziennie. Słyszę jak mówisz: wdzięk rzeczy benadziejnej, przeznaczonej na zmarnowanie...

Mówi gdzieś Dmowski. (właściwie nawet nie wiem, czy go kiedy czytał): „W dobie popowstaniowej u nas publicyści szkoły krakowskiej potępiający powstania, wiele się zecali nad młodzieńczy mi słowami Mickiewicza:

Mierz siły na zamiary,
Nie zamiar podług sił,
Nie to było grzechem organizatorów powstań, że „mierzyli siły na zamiary“ ale to, że zamiary ich nie były mądre, a właściwie nawet, że zapytani o swe zamiary, nie umieli dać odpowiedzi, bo nie wiedzeli dobrze do czego dążą... Wielkie zamiary, wielkie cele bardzo na pozór przerastające siły, bywają przeważnie urzeczywistnione, jeżeli ci, co je sobie stawiają, wiedzą dobrze do czego idą...

Czy cię to przekonuje? Niewątpliwie tak. Jesteś równie przekonany, że wiesz do czego idziesz. Masz swój poemat, swoje pismo, Krąg ludzi, którzy je czytają, mieszkanie na mglistej wyspie, w którym na ścianie powieszysz pamiątki z powstania... Muszę ci napisać szczerze: pogubiłem gdzieś pamiątki z tamtej walki. Gdzieś w głębi szuflady wala się moja opaska, zóółtki awans porucznika „Eugeniusza“ na rotmistrza „Eugeniusza“, dowód przyznania krzyża...! Nawet nie bardzo wiem, gdzie ich szukać. Nie przeczę — to bardzo miłe pamiątki. Ale wiesz, odkąd zobaczyłem tę trawę...

Muszę ci jednak o niej napisać. Trawa jest coraz więcej. Rozsadza mi. I pachnie. Ona mi wiele w trudne chwile pomogła.

Tak mój drogi, tak. Nie będziemy się spierali, czy powstanie miało sens, czy nie. — bośmy go nie wymyślili. Ale to pewne, że powstanie nie było żadnym „końcem drogi“. Mogło być jej fragmentem, jak powiedziałem: barierą — nigdy końcem. Nie ma końca! Komu z nas wolno powiedzieć, że już skończył swoją służbę?

Ale może się nie porozumiemy. Bo ty mówisz, że tam pełnił swoją służbę, a ja mówię, że tu trzeba ją pełnić. Nie można odbudować Polski poza Polską. Coraz trudniej jest nam się zrozumieć. Ten list także nie jest wyjaśnieniem. Lecz jeśli go piszę, to dlatego, że chodzi mi o tę jedną rzecz: o powstanie.

Nie, nim naprawdę nie wolno „kończyć“ sprawy. Ani ci młodzi, którym danym było wyjść cało, a dziś próżno odszukują na krwawych drogach życia uśmiechu dzieciństwa, ani tamci, którzy polegli — nie życzą sobie tego końca. Nudzi ich ciągle walkowania ich bohaterstwa, poświęcenia i krwi. Zrobili swoje i chcą iść dalej. Nie pojmują, że można zatrzymać bieg historii nawet dla największej ofiary. Są twardzi, stanowczy, nieustępliwi. Jak ta trawa na Starówce... Jak wylaniające się z gruzów odnowicze fasady domów...

Chcą iść dalej... Naród bowiem żyje i nie można o jego życiu decydować przy stolikach, z dala, w atmosferze ciągłego oczekania i ciągłej kontemplacji własnego bohaterstwa. Trudno. Powstanie jest już tylko historią. I krwi, która została przelana, nie uczi się wygłaszaniem przez rok w kółko bohaterskiego poematu, ani biadaniem nad „straszonym przeżyciem“. Krew jest jak ziarno. Jak trawa. Odrasta życiem.

Jan Dobraczyński

A to jest krwawy spadek wasz i krwią pisane ku wam słowa! Trzymajcie ziemi onej straż, gdy przyjdzie zamieć piorunowa... Nie dajcie szarpać ziemi łona, gdy krwią dzie świeżą poświęcona...

Zaś, którzy wgszli spośród was i krew oddali swą serdeczną niech będą wartą wam słoneczną po wszystkiek czas — po wszystkiek czas — I niechaj granic polskiej ziemi duchami strzegą płomiennymi!...

Józef Mączka

Gdy się zbliża dzień 1 sierpnia dziwne podniecenie opanowuje większość uczestników Powstania Warszawskiego. Jakies niezrozumiałe rozgoryczenie i niepokój; uparte oczekiwanie. Stan ten dochodzi do zenitu z dniem 1 sierpnia i trwa nieprzerwanie przez 2 miesiące. Człowiekowi robi się nagle ciasno w otaczającej rzeczywistości, powraca myślą do minionych wydarzeń, które powtórnie przeżywa w najgłębszym skupieniu i odosobnieniu. Siła tych wspomnień nie da się z niczym porównać, jest mocna i nieubłagana, jak śmierć, gorąca, jak świeżo przelana krew, niezniszczalna, jak wiecznie odradzające się życie.

Gdy w słoneczne rano ujrzy się szybujące po przecyżnie błękitnym niebie samoloty — mimo woli nasuwa się nieprzeparcie złowieszczą wizja drapieżnych sztukasów. W zwycięskim chórze silników słyszy się wkręcający się do mózgu i serca gwizd pikującej maszyny i człowiek łapie się na myśl, że oto znów rozpoczyna się dzień pierwszym powitalnym nalołem.

Słoneczne upalne dni są tak podobne do tych sprzed 2 czy 3 lat, jak podobne są zazwyczaj do siebie dzieci bliźnięta, a wieczorami świeższe tak samo cykają na Polu Mokotowskim, jak kiedyś w pierwszych dniach sierpnia w wielkim ogrodzie obok gmachu dowództwa na Woli.

Zaś gdy wieczorem krwawy zachód rozplamił zasypiające niebo najjaskrawszym szkarłatem, to wydaje nam się, że to odblask pożarów niszczonych ulic warszawskich.

I tak dzień po dniu żyje się wspomnieniami, spełniając mechanicznie codzienne czynności. Urzeka ludzi przetyta kiedyś wielkość, muska nieśmiertelnymi piórami chrząszczaących na wietrze historii skrzydeł.

Lecz wielkość, o którą się choć otarło — obowiązuje. Im większy był wkład ofiarności, poświęcenia, wyrzeczeń, tym więcej należy dać z siebie w przyszłości, tym bardziej nie wolno ustawać w zrywle wszyscy, lecz dumie i niepowstrzymanie iść naprzód do coraz wspanialszych osiągnięć.

Jakiż był wkład Konfederacji Narodu w krwawym dziele Powstania Warszawskiego? Jak walczyli, zwyciężali i ginęli jej członkowie?

Ludzie K. N-u w olbrzymiej swej większości walczyli pod rozkazami najodważniejszego dowódcy Powstania, pułkownika Radosiawa. W jego zgrupowaniu przeżył niezapomnianą epopeję Woli, Starówki, Czerniakowa, otarli się o Mokotów i Śródmieście, tracąc więcej, niż połowę swych członków, zdobywając wiele odznaczeń (często parokrotnie) i awansów. Dla łatwiejszego przyjrzenia się roli tych ludzi w Powstaniu należy znać się kolejno z historią „Mieczyków“, Niedźwiedzi, Łączności i służby sanitarnej.

„MIECZYKI“

Gdy major Witold, dowódca batalionu „Czata 49“ ochrzcił w pierwszych dniach sierpnia mianem „Mieczyków“ pluton porucznika, a naówczas jeszcze pódchorążego Mlecsa, (Kurzyna M.) wyrażając przy tym z pobłażliwo - drwiącym uśmiechem nadzieję, że nazwa ta nie będzie „na wyrost“, nie przypuszczał z pewnością, że ci młodziutki żołnierze, dzieci nieomal jeszcze, tak mężnie wyrąbiały sobie przejście do drugiego lepsze-

go świata i że w tak krótkim czasie wszyscy prawie tam się zameldują na zasłużony odpoczynek.

W chwili wybuchu Powstania pluton Organizacji Młodzieży Konfederacji Narodu, wspomniane właśnie powyżej Mieczyki, w składzie 1 + 36 dzielił się na trzy drużyny pod dowództwem Jastrzębca (Połkowski), Zygryda (Kurzyna T.) i Bocheńskiego (Orlikowski). Jako sanitariuszki do plutonu przydzielone zostały: Xenia (Wyszomirska), Marysia Rzecka i Zosia (Kotkowska).

I drużyna z Jastrzębcem na czele brała udział zaraz pierwszego dnia po południu w natarciu na rejon ghetta (Monopol Tytoniowy, Pawia Nr. 59), przy czym Jastrzębiec został lekko ranny.

3 sierpnia dowództwo odcinka obejmujące major Witold. Otdąd Mieczyki zostają włączone do batalionu „Czata 49“ i podlegają jako jednostka pomocnicza por. Piotrowi z 28 dywizji Wołyńskiej. Por. Piotr niezwykle życzliwie odnosi się do nich. Dbą o ich uzbrojenie i zaprowiantowanie i wyjednuje powrót do plutonu drużyny Jastrzębca. Drużyna ta niestety poniosła już pierwszą stratę. Od własnego postrzału i wskutek braku pomocy sanitarniej tragicznie zginął Jano (Jon Orsagh - Krąjewski), młodziutki śliczny chłopiec, z urodzenia pół Słowaka, pół Francuz.

W pierwszych dniach powstania Mieczyki (poza wspomnianą już drużyną Jastrzębca) pełnią przeważnie służbę wartowniczą, organizują się, szkolą, dozbierają. Postawa, porządek i sprężysta organizacja tych młodocianych żołnierzy imponuje kwalifikującym obok PAL-owcom, którzy proszą ich o pomoc w razie niemieckiego natarcia.

5 sierpnia rano Mieczyki otrzymują pierwsze poważne zadanie bojowe — rozkaz wzięcia udziału w obsadzeniu przez por. Piotra rogu Karolkowej i Wolskiej. Tam spotykają się z silnym ogniem artyleryjskim. Bezpośrednio po wyjściu z tego huraganu biorą udział wraz z całym ugrupowaniem „Czaty“ w natarciu na rejon ul. Plockiej. Natarcie, prowadzone przez samego mjr. Witolda, który posuwał się spokojnie, z lekka tylko przygięty, jak na ćwiczeniach, nie osiągnął jednak celu wskutek zorganizowanego ognia niemieckich cekaemów, który spowodował tak wielkie straty w zabitych i rannych, że o dalszym posuwaniu się nie mogło być mowy. Należy podkreślić wspaniałą postawę Xenii (siostry Janka Wrońskiego), która pod ogniem cekaemów, jak na popisie opatrzyła około 20 rannych. Ogromne opanowanie i odwagę wykazał również wtedy Krzysztof Gls. (Pogonowski). Po odkomenderowaniu ludzi do niesienia rannych, dowódca plutonu Miecz wraz z Zygrydem, Balkiem (Pietrzak Włodzimierz), Cłsem i nieznanym żołnierzem zawodowym docierają z majorem aż do ulicy Płockiej, jednak domów, o które chodziło nie zdobywają. W walkach tych zwracało uwagę poświęcenie Balka, który, mimo śmiertelnego znużenia, na ochotnika pełnił służbę gońca. Natarcie jednak było nieudane. Tej samej nocy został zajęty pozostawiony bez ostony szpital Karola i Marii.

6 sierpnia pluton robi pierwszy samodzielny wypad w teren, którego celem jest dotarcie do szpitala św. Łazarza i podpalenie górującego nad powstańczymi pozycjami budynku. Chłopcy pod dowództwem Mlecsa posuwają się ogrodami szpitala Karola i Marii, nie wiedząc, że grasują już tam Ukraińcy. Podpalenie budynku napotyka na olbrzymie trudności z powodu braku łatwopalnych materia-

łów. Beton, kafle i żelazo nie chcą się ani rusz zająć! Niewiele pomaga nagromadzenie na korytarzu wieszaków, kołder, materacy i podłanie ich benzyną. W drodze powrotnej mijają o 30 m. patrol niemiecki, szczęśliwie nie zauważeni przez niego i dochodzą do m. p., biorąc po drodze do niewoli jakiegoś zabłąkanego kałmuka.

Gdy się wspomina krótkie a bohaterskie dzieje Mieczyków, mimo woli jako określenie tego oddziału nasuwa się tytuł książki Chojnowskiego: „W młodych oczach“. Ci chłopcy tak młodzi, tak jeszcze wrażliwi i beznadziejni, a jednocześnie przez tę własną młodość tak często nie zdający sobie dokładnie sprawy z grozy położenia, rozbrajająco oświadczenie reagują na sytuację. We wspomnianym już obsadzeniu ul. Karolkowej i Wolskiej chłopcy, dotąd lekceważący sobie wojnę i lekkomyślnie narażający się na obstrzał, teraz, zetknięwszy się po raz pierwszy z siłą buraganową, ognia artylerii, na chwilę stają skonsternowani wobec rozpiętanego szaleństwa pocisków. Ale wystarczy zaobserwowanie spokoju ludzi por. Piotra, by Mieczyki odzyskały nie tylko spokój, ale i fantazję, aż por. Piotr musi powstrzymać ich szarżowanie. Opanowani przemożną wiarą w zwycięstwo wszystko tłumaczą na dobre, przynajmniej w tych najlepszych dniach. Po natarciu na ul. Plocką nie zdają sobie sprawy z powagi sytuacji. Nie wiedzą jeszcze o poniesionych stratach, uważają natarcie za sukces i przeżywają pełne entuzjazmu chwile. A oto jak opisuje początek ewakuacji jeden z uczestników: „Na odcinku panuje względny spokój. Ewakuuje się tylko park samochodowy z przeciwnej strony Karolkowej i magazyny zaopatrzenia. Nie robi to jednak na nas wrażenia. Przeciwnie. Czujemy się raczej pokrzepieni, traktując to jako przygotowanie do intensywniejszej obrony“.

Lecz ogień się wzmagą. Znów wszyscy podziwiają opanowanie i isicę angielską flegmę majora. Około godz. 20-tej artyleria milknie. Jednak Mieczyki czeka jeszcze dalsza próba wytrzymałości. Muszą pełnić nocną służbę na barykadzie i podpałać miasto, gdyż to jest jedyny sposób opóźnienia. Wokół płoną domy. Krwawe płomienie piszą na czarnym niebie gorącymi od żaru zgłoskami pierwsze przepowiednie idącej zaraty. Ze szpitala słychać jęki rannych. Jest to noc ciężka, noc pogrzebu Zygryda (Tadeusza Kurzyńca), który poległ dnia tegoż popołudniu w czasie ognia artyleryjskiego. Leży na korytarzu, a koledzy kopią dlań grób. Do tego płytkiego dołu późną nocą złożą ciało poległego, zawinięte w jakąś starą kołdrę. Pożegna go w krótkich słowach w imieniu Organizacji Balk, a w imieniu Dowództwa Major Witold, który nada mu pośmiertnie Krzyż Walecznych.

Od tej chwili śmierć już coraz częściej będzie kroczyła śladami Mieczyków.

7 sierpnia Mieczyki zajmują stanowiska na ul. Głbalskiego. Około godz. 8-jej wyrusza pierwszy patrol pod dowództwem Marka (Buczyński). W skład tego patrolu wchodzi dobrowolny zespół ludzi ze Stawłuskim (Zdzisławem Piaseckim i Henrykiem Hyslem (Stefaniak) na czele. To pierwsze zadanie bojowe Stawłuskiego, wymarzone, upragnione od dawna. Przez pierwszych 7 dni Powstania rwał się nadarcemnie na linie, ale w końcu jego gotowość bojowa i młodzieńczy zapał przemogły sprzeciw dowódców i Zdzisław wyruszył do akcji. Oto idzie promieniejący i radosny, w jasny, słoneczny

poranek i nie wie, że już wkrótce dopełni się jego życie, życie krótkie, a rokujące tyle wspaniałych nadziei. Wszyscy, którzy znali tego młodego chłopca, jednomyślnie podkreślili jego niezwykle zdolności, nieprzeciętne wartości i charakter. Chcieli go ochraniać, ale daremnie. Jego przełożeni wola walki pokonała niespokojną troskliwość. Patrol idzie na teren szpitala Karola i Marii podpalając szpital. Miecz przeprowadza ich obojętnie przez barykadę, gdyż jest to teren szczególnie niebezpieczny, pozostający pod ostrzałem wyborowych strzelców ze szpitala Łazarza. Następnie wychodzą dwa dalsze patrole Pogonowskiego (Kozłowski) i Jastrzębca, który podpala budynki na terenie cmentarza Ewangelickiego, przy czym sam Jastrzębiec ulega ciężkiemu poparzeniu i zostaje uratowany od strasznej śmierci jedynie dzięki przytomności umysłu 16-letniego chłopca Zbyszka Zawadzkiego (Kobenz), który rzuca się na niego i własnym ciałem gasi płomienie.

Brak patrolu Marka (Buczyńskiego). Niestety patrol ten nie wróci już nigdy. Wskutek mylnych informacji chłopcy poszli na teren rzekomo opuszczonego szpitala, który w istocie pełen był Niemców. Zostali prawdopodobnie zaskoczeni i polegli na miejscu. Tylko Stawłuski ciężko ranny serią cekaemu w pierś dowiółk się po południu do placów polskich. Ale nie się od niego nie można było dowiedzieć, bo był już nieprzytomny. Umarł wkrótce w szpitalu Jana Bożego, gdzie został pochowany na dziedzińcu na cmentarzyku powstańczym. Ciężar tej śmierci silnie obciąża w dotychczas stracił Konfederacji Narodu.

Dnia tego wieczorem Mieczyki biorą udział w odpiernaniu dwóch ciężkich natarć piechoty niemieckiej, czolgami. 2 czolgi zostają unieruchomione, a dwa poważnie uszkodzone. Następnego dnia pewnie odprężenie. Na stanowiska przychodzą ludzie mjr. Okonia, którzy z kolei oddają swe kwatery (fbr. Telefunken na rogu Karolkowej i Mireckiego) Czacie. Mieczyki otrzymują polecenie zajęcia cmentarza Ewangelickiego, który po paru godzinach staje się terenem ciężkich walk. Wyróżnia się wówczas opanowaniem i karnością sanitariuszka Zosia, która przez cztery godziny pod niezwykle silnym ostrzałem artylerii ani na metr nie ustąpiła z powierzonej jej pozycji.

Nazajutrz dołączają Dalicka (Andrzejewska) i Ojciec Paweł. Tegoż dnia nieprzyjaciel wdiera się na Mireckiego. Ranny w nogę Miecz, nie zważając na ranę wydaje jeszcze rozkazy podpalenia kwatery, naznacza swoim następcą Balka i poleca pieczę nad chłopcami por. Piotrowi, po czym zostaje przeniesiony do szpitala, gdzie wkrótce spotka się z Bocheńskim.

Oddanie cmentarza było początkiem odwrotu. Zapalenie fabryki Telefunken tylko na chwilę powstrzymuje Niemców, którzy zajmują obrzymi teren od Młynarskiej, Żytniej i Karolkowej aż do Okopowej.

Mieczyki pod dowództwem Balka przechodzą na Stare Miasto. Awansują, dostają odznaczenia.

15 sierpnia odbywa się w kościele Jezuitów ślub Janusza Jastrzębca z Halą Olszowską (Smoleńską). Miecz, który obok Niny (Wyłężyńskiej) i 2 kolegów jest świadkiem, przybywa na tę uroczystość niesiony przez kolegów.

Zamiast organów grają na tym żołnierskim ślubie armaty, zamiast świec — świeca się złowrogo krwawa

SPADEK

Konfederacji Narodu

odblaski łuny. Na stopniach ołtarza klęczą rycerskie postacie w panterkach... Zaisie takiego ślubu nie widziały jeszcze stare mury kościoła.

Tymczasem nad Starym Miastem dopełnia się wyrok zagłady. Stosy krwawych cegieł zalegają zniszczone ulice, wszędzie gruz, pył, ruiny, pożary...

Zostaje ranna sanitariuszka Zosia, gdyby nie opieka Ojca Pawła umarłaby zapewne pozostawiona samej sobie. Ginie okropną śmiercią spalona żywcem żona Balka, łączniczka Irena, a w parę dni potem i Balk idzie w jej ślady. Gdy przed wybuchem Powstania Balk (Pietrzak) nastawał na wzięcie w nim udziału, rozżalony Kiejstut (Hagmajer Jerzy), widząc, że wszystkie tłumaczenia są daremne, wyrzucił z siebie wreszcie, że woli mózg Balka u niego w głowie, niż na bruku. Lecz żadne perswazje nie mogły Balka przekonać. Jak w Konspiracji, nie zważając na zły stan zdrowia, pracował cały czas ofiarnie, tak i teraz brał od pierwszej chwili udział w walkach, pełniąc wszelkie potrzebne w danej chwili funkcje, od zajęć gońca począwszy. Zawsze opanowany uśmiechnięty, uprzejmy promieniował dziwnym urokiem subtelnej, wytwornej prostoty, właściwej nieprzeciętnym umysłem. Śmierć Haliny, a później tragiczna śmierć żony wstrząsnęła nim silnie. Ciężko ranny na punkcie obserwacyjnym umiera po operacji, nie odzyskawszy przytomności. Dziwnym trafem sprawdzają się słowa Kiejstuta, gdyż Balk ranny jest w głowę. I oto odłamkiem martwego żelaza zostaje zniweczony mózg utalentowanego pisarza i myśliciela, mózg, w którym zrodziły się przepiękne słowa o harmonii i szczęściu, o szczęściu, które „bierze się nie z zastoju, lecz z heroizmu, z wyzwania rzuconego losom”. Dalicka organizuje jego pogrzeb, zapamiętuje miejsce grobu. Niestety w rok po Powstaniu przy ogólnych ekshumacjach miejsce to zostaje przeoczone i szczątki tego nieodżałowanego człowieka wędrują ostatecznie do wspólnej mogiły.

Po śmierci Balka Mieczkami opiekuje się najbardziej Dalicka i mjr. Witold, lecz przez krótki czas tylko. 28 sierpnia mjr. Witold ściga Mieczki z akcji, chcąc oszczędzić i tak już wyniszczony oddział. W pół godziny po powrocie na kwaterę na Mławskiej 5 w czasie nalotu sztukaśców ginie od bomby w gruzach zawałonego domu 19 ludzi wraz z niedawno poślubionymi Jastrzębcom (Polkowskim Januszem) i Halą Olszewską (Smoleńską Haliną). Cudem ratuje się Dalicka i trzech chłopców. Miecz przechodzi wraz z grupą rannych prowadzonych przez Zuzannę (Olechońską) do szpitala na Krzywym Kole kanałami do Śródmieścia. Po kilku dniach po przegrupowaniu przybyłych w międzyczasie okrutnie wyniszczonych oddziałów ze Starówki, grupa ta dołącza do Radosława i, nie chcąc pozostać w szpitalu, wraz z nim udaje się na Górny Czerniaków.

Początkowo, Miecz jako ranny, nie bierze udziału w akcji. Gdy jednak sytuacja staje się coraz cięższa, a brak ludzi daje się we znaki, mimo rany, zgłasza się z powrotem do mjr. Witolda na linie. Lecz Major ze względu na jego chorą jeszcze nogę przeznacza go do służby kancelaryjnej — pomocy w prowizorycznym szpitaliku. Gdy jednak oczekiwana tak długo z upragnieniem pomoc z Wisły okazuje się wreszcie nierealną — Major wysyła Mieczka na linie. Miecz obejmuje dowództwo drużyny ludzi, broniących gruzów domu Okrag 3b. Wśród załogi od-

najduje dwóch swoich ludzi dawnych ludzi, jeszcze z Konspiracji, którzy pomagają mu opanować sytuację i dodać ducha zdemoralizowanym obrońcom Czerniakowa. Mimo wyjątkowo ciężkiego położenia zdobywa barykadę na zakręcie Okręgu i Dom Włókna Polskiego, przy czym zostaje lekko ranny. Około południa przybywa ze swoimi ludźmi por. Grabowski (Ciecierski) jeden z najlepszych oficerów. Do tej pory bronił zupełnie odciętego domu na Solcu, trzymając Niemców w szachu i oddał go dopiero, gdy pospali mu się wartownicy w czasie jego bytności u mjr. Witolda. Nie za-

dem i grupą ośmiu przebranych oficerów jako ranni cywili.

Z plutonu młodzieży Konfederacji Narodu, który 1 sierpnia liczył 36 chłopców, wychodził sam Miecz. Ocalało jeszcze dwu ludzi.

Tak walczyły i ginęły Mieczki w Powstaniu Warszawskim.

„NIEDŹWIEDZIE”

Niedźwiedzie, wstawione już akcjami dywersyjnymi na terenie Warszawy, elementem bardzo młody, zapalny, dzielny, miały wypisać swą historię w Powstaniu krwią i bohaterstwem.

Wskutek opóźnionego otrzymania rozkazu o koncentracji i przedwczes-

ny na najdłuższym odcinku, dającym możliwość największego kontaktu z nieprzyjacielem. Na przedpolu budynku po drugiej stronie Dzielnej ciągnęła się w gruzach pozycja, wysunięta na kilkadziesiąt metrów, które wzniesione ponad teren dają dobrą widoczność, ale stanowią słabą osłonę. Na wprost wznosi się tzw. Biały Dom i Zakład św. Zofii, dające panowanie ogniowe nad ghettem. Obiekty te kuszą chłopców. Pragnęliby je zdobyć. Ciągły ogień oraz wypadki nieprzyjaciela są doskonałą zaprawą bojową. W czasie tej „nauki” ginie 5 sierpnia strzelec Chłóczyk, pełniący jednocześnie funkcje szofera kpt. Niebory. Dostał w same czoło.

4 sierpnia Niedźwiedzie przeżywały pierwszy nalot, a po południu szturm. Wsparciem działaniem ogniomym zdobywczego czołgu, który ku niepochamowanej uciecie chłopców rąbie nielitościwie w Biały Dom, Niedźwiedzie zajmują pozycje na wschod-

sy walki od strony Przyokopowej są coraz głośniejsze. Amunicja się wyczerpuje. Na szczęście przemysłowe Niedźwiedzi wyszabrowały jej przedtem większą ilość, tak że mają jeszcze pewien zapas. Koło południa nieprzyjaciel podchodzi od ul. Smoczej. Nastrój staje się coraz cięższy. Wśród ludności cywilnej zaczyna się szerzyć panika, co oddziałuje niedobrze na żołnierzy. Niemcy nie dają swoim ludziom czasu na rozważania, trzymając ich na pozycjach, przez co utrzymuje równowagę psychiczną. Wieczorem wraca por. Gałązka wraz z amunicją i przykrym do wykonania rozkazem — odesłania części ludzi do rezerwy na Stare Miasto. Rozkaz spowodowany małą ilością broni i amunicji wywołuje silne sprzeciw. Odchodzi wówczas 4 Niedźwiedzi, którzy znów dołączą za tydzień na Starówce. Odchodzi też większość kobiet.

7 sierpnia cały dzień trwa alarm. Wypadki nieprzyjaciela i kontrwypadki, pogotowie czołgowe. Nocą odmarsz Gęsiówkę, a stamtąd na nowe m. p. do Pfeiffer wg. panującej w sztabie opinii — to pozycja. Jest on niestannym celem ciężkich pocisków. Ustawiczne wybuchy, rany, krew. 9 sierpnia ginie Briński, jeden z najlepszych Niedźwiedzi, dosłownie roznieiony wraz z lkm'em. Zostają ciężko ranni plutonowy Znicz i pchr. Aloha, a wieczorem w czasie nalotu Tytan i Jakub.

10-go rano Niedźwiedzie wyruszają do Temmlera, gdzie już kwateruje mjr. Sawa. Niemy obejmuje dowództwo nad patroliem kpr. Zmudzina na miejsce straconych ludzi. Obsadza narożnik Przyokopowa—Dzika. Temmler stanowi najdalej na pń.-zachód wysuniętą pozycję. Należy sforsować drugą stronę ulicy w celu zdobycia stojących po przeciwnej stronie domów. Niedźwiedzie stanowią osłonę ogniową. Skok por. Marsa nie udaje się. Na otrzymany bezpośrednio od płk. Radosława rozkaz — Niemy wraz z 5 ludźmi w zwartej grupie przebiegają szczęśliwie ulicę i zajmują w przeciwległej kamienicy wspaniały punkt, dający możliwość obserwowania Temmlera i całej Przyokopowej z jednej strony, a Dworca Gdańskiego z przekłętą pancerką z drugiej. Niedźwiedzie, mając przekonać szkopów o rzekomo silnym obsadzeniu gmachu przez oddziały polskie, z nieklamną satysfakcją walą, ile wlezie. Niemcy rozpoczynają ostrzeliwanie z ciężkich granatników, burząc do wieczora oba domy prawie całkowicie. Przemęczeni żołnierze muszą jeszcze przetrzymać w karności skłoną do ekscesów zrozpaczoną ludność cywilną. Około 7-iej rano opuszczają na rozkaz zrujnowaną pozycję, podpalając ją uprzednio, przy czym Niemy ulega poparzeniu.

W nocy z 12 na 13 sierpnia Niedźwiedzie przychodzą przez ghetto na Stare Miasto. Wola i Powązki są już w rękę niemieckim. Marzenie o Kampinosie rozwiewają się. Tegóż dnia dowiadują się o bohaterkiej śmierci kpt. Niebory, który poległ 11 sierpnia w bitwie o Stare Miasto.

Pierwsze chwile na Starym Miście — to luksusowa kwatera w Pałacu Krasińskich. 14-go sierpnia przemarsz na nową kwaterę na Franciszkańskiej. Cała „Miotła” zostaje włączona do „Czaty 49” mjr. Witolda. Por. Gałązka ciężko chory na serce idzie do szpitala. Niemy przechodzi pod komendę kpt. Zgody. Po południu bierze udział wraz z por. Małym w szturmie na Stawki. Zostają wówczas ciężko ranni Mieczysław, który pod koniec Powstania wróci wyliczony i Turek, który zginie w szpitalu na Starówce. Giną kpr. Zmudzina i Radoł. Brat Zmudzina ciężko ranny. Zdobyte Stawki nazajutrz rano zostają opuszczone. Żołnierze są rozgoryczeni. Po co w takim razie szturm i straty? Zajmują nowe kwatery na pow. Bonifraterskiej i Franciszkańskiej blisko Jana Bożego. Niemy obejmuje dowództwo nad ludźmi por. Alo-

znajdującego się na punkcie sztabu.

Maciej J. Kononowicz

Kieszonkowa Mogiła

jeszcze tylko kilka minut — kolego
jeszcze tylko kilka kroków — braciśzku
i znajdziesz się na drugim brzegu
i — będzie po wszystkim...
jeszcze tylko chwilę ojczyznę się zamroczyśz
jeszcze te kilka kroków do niej cię zbliży
jeszcze do zieleni słonecznej przytul oczy
i będzie cicho — lżej będzie...
jeszcze ostatnia melodia, która do mózgu się wdarła
jeszcze tylko ostatnia taczka kamieni
jeszcze krzyk — i struga krwi z gardła
potem inaczey — potem się wszystko zmieni.
o — jesteś wielki i jesteś możny
możesz jak płaszczem nakryć się historią
możesz przebierać: wylot lufy groźny
pejcz — kastet albo krematorium...
możesz jak czarnoksiężnik Faust
(Faust po niemiecku pięść oznacza)
wyrzec zaklęcia „loss und rauss”
w mydełko w proch się przeistaczać

możesz — mogłeś, już nie kolyszają się ramiona wagi
koperta z proszkiem na lśniącej czerni pianina —
śmiesznie wyglądasz — czy to od śmiechu tak drżą wargi?
XX wiek: cmentarzyk pokojowy — kieszonkowa mogiła...

uważeni przez nich Niemcy weszli na I piętro. Wracający Grabowski zobaczył ich i mimo, że był bez broni i ranny w obie ręce, wyprowadził całą oddział kilkanaście łączniczek i sanitariuszek oraz kilkunastu rannych. Obecnie otrzymuje dowództwo odcinka od Okrag 3b do Domu Polskiego Włókna, a Miecz ma być jego zastępcą. Pogodny, uśmiechnięty, pełen odwagi i poświęcenia Grabowski, będąc ranny w obie ręce, pozdierał opatrunki i strzelał, opierając „peem” na temblaku. Wynałazł też nowa taktykę przeciw czołgom. Kiedy Tygrys był daleko, zajmowało się pozycje na parterze i w piwnicach budynku, gdy podjeżdżał blisko — trzeba było przenosić się na najwyższe piętro. Sposób bardzo skuteczny, choć wymagający odwagi i skupienia.

Lecz nie już nie mogło pomóc. Natarcia niemieckie trwały od godz. 8-iej do 20-iej, powtarzając się co dwie godziny. Barykada rozpadała się. Wobec tego zrodziła się decyzja ponownego zejścia do kanałów. Należy podkreślić postawę sanitariuszki Zosi, która pragnęła zostać, nie chcąc opuszczać koleżanek, zajętych odkopywaniem zasypanego i dopiero wyraźny rozkaz Majora zmusił ją do posłuszeństwa.

Po przejściu kanałami na Mokotów, gdzie znów musiał leczyć dołączające mu rany, Miecz wraz z ranną również Dalicką przeszedł jeszcze kanałami do Śródmieścia. Wskazywał na niego mjr. Witold.

nego wybuchu Powstania, — mobilizacja nie została przeprowadzona zgodnie z planem. Dowódca Niedźwiedzi, podchorąży Niemy (Niżyński), od pierwszej chwili wykazał niezwykłą odwagę i energię. Zaraz pierwszego dnia kompletuje on swoje uzbrojenie, zdobywając pistolet, pb 41, mpi i hełm. Przechodzi kolejno z jednej akcji do drugiej.

3 sierpnia rano przychodzi pchr. Sowiński z 17 ludźmi, m. in. Witoldem, Ziukiem, Stanisławem, Stanisławem Grubym, Jakubem, Tytanem, Chłóczykiem, Turklem, Brińskim, Sułkowskim, Sławkiem, oraz dwiema łączniczkami — wyjątkowo dzielny, młodzieńkami dziewczętami Alicją (Kucharek) i Ninką. Razem z przybyłymi już przedtem Pobogiem, Mieczysławem i nieznanego nazwiska kolegą.

Niedźwiedzie tworzą teraz zwarty, pełen gotowości bojowej oddział w sile 21 ludzi plus 2 łączniczki. Łączniczka konspiracyjna plutonu Scarlett (Tonhuru) 2 sierpnia przechodzi do łączności sztabowej pułkownika Radosława. Niemy melduje swój oddział kpt. Nieborze, dowódcy batalionu „Miotła”, w skład którego wchodzi Niedźwiedzie i zostaje skierowany do por. Gałązki do Monopoli. Kwatera w Monopolu upaja Niedźwiedzi, czują się w tych rozległych salach zupełnie, jak w koszarach. Zaprowiantowani są łobrze, a na papierosach dosłownie śpią. Niedźwiedzi pełnią bez przerwy służ-

nim skrzydle. Opóźnieni przez nalot leżą dwie godziny, czekając na wypad nieprzyjaciela i dopiero pod wieczór ruszają, natrafiając na silny ogień. Pod osłoną nocy Niemy wraz ze swymi ludźmi podsuwa się pod sam Biały Dom. Leżą tak blisko że słyszą rozmowy niemieckie. O północy pada rozkaz wycofania się o kilkadziesiąt metrów. Chłopcy leżą całą noc wygodnie z ziębnici Nad ranem zostają wycofani z powrotem do Monopoli. W czasie tego szturmego zostaje ciężko ranny granatem w plecy strzelec Stanisław (Sitowicz Teofil). Odtransportowany do szpitala Karola i Marii prawdopodobnie umiera lub zostaje rozstrzelany przez Niemców, gdyż wszelki ślad po nim ginie. Strzelec Sławek ranny jest w nogę. Koło południa Biały Dom zaczyna się intensywnie wstrzeliwać w 1 i 2 piętro Monopoli. Wiele radości daje dnia tego nalot, gdy szkopy, zapewne wskutek mylnych informacji, bombardują własne obiekty. Wieczorem por. Gałązka przy zdawaniu raportu kpt. Nieborze podkreśla specjalnie bojową postawę i inicjatywę Niedźwiedzi.

6 sierpnia por. Gałązka wraz z uderzeniową jeszcze łączniczką Niną przediera się do Śródmieścia do KG dla przedstawienia sytuacji, która staje się coraz głośniejsza. Złowrogie wstęgi pożarów coraz ciśniej opasują walczących. Szare dymy rozwłóczą się jak nie określone zapowiedzi mających nadejść okropności. Odgło-

nym. Straty w Niedźwiedziach wynoszą już 60%. Nowy dowódca, kpt. Zgoda, zmierzając słusznie do zatarcia odrębności między swymi starymi a nowymi ludźmi, uzależnia kwestię dowodzenia tą czy inną grupą tylko względami operacyjnymi. Z-cą kpt. Zgody jest por. Głóg, d-cami drużyn — Mały i Niemy.

17-ego sierpnia Niedźwiedzie idą na Muranów w związku z projektowanym obustronnym uderzeniem do Starówki i Żoliborza, celem wyrąbania przejścia do Kampinosu. Ponieważ i na tej pozycji nie próżnują, starając się zadać Niemcom jak największe straty, (przy czym nie brak tu oryginalnych momentów, jak np. wystrzelanie plażujących beztropko artylerzystów niemieckich) — ściągają wkrótce na siebie ogień nieprzyjaciela. Już ich wyznaczono. Od pocisków zapalających zajmuje się kwatera. Pożar rozszerza się szybko na sąsiednie zabudowania, m. in. na Dom Starców. Nieszczęśliwcy palą się żywcem. Rano zgłiszczą się jeszcze tak gorące, że stać w nich jest niepodobniestwem. Natomiast trafia się cudowna okazja przetrzeźwienia Niemców, którzy, nie spodziewając się natopkać żywego ducha, w spalonych domach, wchodzą w ogóle bez krycia.

Po godzinie wracają już prawidłowo, ale znów zostają odparci. Przez całą noc trwają manewry czołgów. Rano wybucha goliat i rozwała pół domu, grzebiąc pod gruzami wszystkich prawie obecnych. Ginie m. in. kpr. Mirek, ciężko ranni, oraz Janusz, kpt. Zgoda, i kpr. Sowiński, który dołączył do akcji dopiero pod koniec Powstania jeszcze nie wyleczony. Dowództwo nad całością obejmuje Głóg. Znow szurm czołgów odpiernany piątem, przy czym jedna szluka zostaje „upolowana”. Po południu rozpoczyna się skoncentrowany ogień granatników, czołgów i samolotów. Nazajutrz to samo piekło. Wieczorem oddanie terenu. Zostaje kontuzjonowany Pobóg, kontuzjowany i ranny Niemy, który leży na kwaterze. Wracają dwaj Niedźwiedzie, ranni u Pfeiffera, Tytan i Jakub. Jeszcze kuleją, ale siłą wrywają się do akcji. Przychodzi rozkaz o odznaczeniach i awansach. Sowiński i Pobóg dostają KW. Niemy Virtuti Militari. Radość jednak wkrótce gaśnie — granat zabija dwóch ludzi i paru ciężko ranni, m. in. amunicyjnego przy piacie — Drewniaka. Wieczorem płonie cały blok domów. Wszelkie próby ugaszenia pożaru nie dają rezultatu. Nocą Niedźwiedzie opuszczają kwaterę. Zresztą cały Muranów po nieudanym uderzeniu Żoliborskim ewakuuje się. Czata udaje się na Mławską 3. Niemy, mimo rany, nie może uleżeć, wraca na linię. Trzyma pozycję na rogu Sałpezyńskiej i Mławskiej wraz z niezajętą jeszcze częścią kompleksu Jana Bożego. Poza tym skrawkiem cały szpital jest już w rękach niemieckich. 10 m. płot dzieli od siebie pozycje.

28 od rana naloty i dwa wybuchy na Mławskiej 3, gdzie ginie kilku-dziesięciu ludzi (m. in. Mieczki). Z Niedźwiedzi polegli wtedy: Witold i Stanisław Gruby. Tego samego wieczoru bomba rozwała drugą kwaterę

na Franciszkańskiej. Ginie Pobóg. 29-ego znów płonie dom z częścią kwater. Niemy lekko ranny. 30-ego wieczorem wymarsz na plac Bankowy celem przedarcia się górą. Niemy ze względu na zły jeszcze stan nogi, niezdolny do marszu kanałami, zostaje na stanowisku, oczekując na zapowiedzianą w razie pomyślnego wyniku akcji na pl. Bankowym — rakieta. Wówczas wycofa się na pl. Krasieńskich. Dziwne musiało być wtedy uczucie garstki ludzi (ok. 16), trzymających jedną z ostatnich polskich pozycji. Ulice Mławska, Franciszkańska, Świętojerska świeciły pustkami. Stojący na obu skrzydłach dowódcy wycofali się i Niedźwiedzie zostali sami. Ale trwały niezłomnie nadal. Około godz. 3-iej łączniczka z dowództwa Czaty Joanna-Krystyna (Frankowska) przynosi rozkaz wycofania się. Oddział udaje się do wiatru na Długiej, gdzie panuje ogólna dezorientacja. Tysiące ludzi w mundurach i po cywilnemu, rannych i zdrowych tłoczy się wokół zbawczego otworu. Gdy kilku oficerów próbuje zaprowadzić porządek, powstaje panika, rozlegają się krzyki: „Niemy!” Stwierdzisz, że wiadomość ta jest niezgodna z prawdą Niemy nawiązuje kontakt z ptk. Radosławem, który osobiście mianuje go wówczas porucznikiem. Wraz z ptk. Turym, szefem sztabu grupy Radosław, przez 4 godziny obchodzi Niemy ostatnie stanowiska powstańcze na Starówce. Jak już ich mało! Nowiniarska, Franciszkańska, Świętojerska, Ciasna, Koźła. Obsadza Świętojerską i róg Nowiniarskiej. Świętojerska — to już linia graniczna. Obstrzał idzie z trzech stron. Wskutek wycofania się Parasola z Bonifraterskiej — obsadza także i ten teren. Na Bonifraterskiej wstrzymuje napór czołgów niemieckich, pędzących przed sobą kobiety i dzieci. Dopiero noc przynosi upragniony spokój po niezwykle ciężkim dniu. Głód, wyczerpanie, ustawiczne naloty, utrudniona łączność z dowództwem i przynębiająca świadomość, jak małym jest broniący jeszcze skrawek Starego Miasta — wykańczają ludzi. Tym bardziej na podkreślenie zasługuje wspaniała postawa, wykazywana w tych potwornych chwilach przez ostatnich pozostałych jeszcze przy życiu Niedźwiedzi — Tytana, Sułkowskiego i Jakuba oraz łączniczkę: Alicję, Ninke, Dalicką.

Wieczorem płonie część domu. Jakby na pocieszenie Dalicka przynosi trochę jedzenia i wiadomość, że w „Czacie” na Podwalu są jeszcze wielkie zapasy. W jednym z porannych nalotów wali się cała kwatera, strat w ludziach jednak nie ma. I znów natarcie niemieckiej piechoty, wsparte czołgami. Nadeszły z posiłkami ptk. Tur mianuje Niemego oficerem dyspozycyjnym do swych bezpośrednich poruczeń. Wraz z małym oddziałkiem, do którego pułkownik dorzucił jeszcze 5 ludzi i łączniczkami Alicją i Dalicką, urządzają kwaterę pułkownika, gdy nagle wieść o zajęciu szpitala w kościele św. Jacka przez Niemców porusza wszystkich na nogi. Pędzą do kościoła, by się przekonać, że alarm był fałszywy. Lecz skoro po powrocie Niedźwiedzie zabierają się do posiłku, znów staje w płomieniach ich kwatera. Dwugodzinne gaszenie nie nie pomaga i muszą ewakuować rannych ze znajdującego się w podziemiach szpitala na Długą 7, gdzie stoi ptk. Radosław. Tam na polecenie Pułkownika w pogotowiu bojowym oczekują na zapowiedziany wypad. Jakiś lekarz, wzruszony bojowym wyglądem, a zapewne i młodocianym wiekiem żołnierzy, ścisła Niemego, wręczając mu dla oddziału wielką torbę słodczy. Wypad nie dochodzi do skutku, Niedźwiedzie wracają na niedopaloną kwaterę. Pułk. Tur oznajmia, że nocą wycofają się ze Starówki kanałami. Nie ma już żadnej nadziei.

Z 1 na 2.IX o godz. 22-iej w nocy Niemy melduje się u ptk. Radosława. Wraz z por. Osą tworzą oddział

ochronny. Do kanału wchodzi około 5-iej rano, gdy na Starówce nie ma już barykad. Przez parę godzin idą w ciemnościach kanałów na chybił-trafił. Gdy przemoczeni, zabłoceni, ale zawsze pełni fantazji chłopcy maszerują niezniszczonymi jeszcze ulicami Śródmieścia, mają ogromną uciechę z licznych barykad, ostrzeżeń i sygnałów, które wobec panującej tu ciszy wydają się przesadną ostrożnością. Wreszcie Jaguar nie wytrzymał. Nie mogąc sobie odmówić tej małej satysfakcji puszcza serię z peemu w powietrze. Na efekt nie czeka długo. Krzyk: „Niemy!”, gwałtowna ucieczka. W rezultacie Niemy tłumaczy swawolnego podkomendnego przed oficerem porządkowym, który upewniwszy się, że nic nie grozi, wyłazi wreszcie z pretensjami z jakiejś bramy.

W Śródmieściu dawny batalion „Miotła” odradza się jako II kompania batalionu mjr. Witolda. W skład oddziału Niemego wchodzi 14 ludzi: Tytan, Sułkowski, Jakub, Wirch, Jaguar, Wrona, Czarny, Ghandi, Ochotnik, Jeż, Mieczysław i trzech dalszych.

W nocy z 3 na 4 września Niedźwiedzie w nowym składzie przechodzą na Czerniaków, zajmując kwaterę Okrag — Wilanowska. 4-y września mija spokojnie. 5-go przyska złudny spokój. Nieprzyjaciel zagroził od Powiśla. Oczekuje się natarcia. Teren gazowni jest bezpośrednio zagrożony. O zmierzchu pół kompanii zajmuje stanowiska na tyłach gazowni. Niedźwiedzie opanowują trzy najdalej wysunięte domy w odległości około 100 m. od nieprzyjaciela. Koło 1-iej po północy cała kompania przechodzi na teren szpitala św. Łazarza zmieniać kompanię, która poniosła ciężkie straty wskutek natarcia czołgów, podczas którego sponął szpital z hecennym zapasem lekarstw, środków opatrunkowych i protez. Teraz Miotła obsadza szpital, a po drugiej stronie Księżęcej ambasadę chińską i francuską oraz wille prof. Pnińskiego. Od nieprzyjaciela dzieli Powstańców tylko ogród sejmowy. Niedźwiedzie kwatrują w domu Nr. 7, słynnej później „siódemce”.

9 września zasypany zostaje Okrag wraz z rzeczami Niedźwiedzi. Sytuacja na terenie YMCA i Wiejskiej jest trudna. W poprzek Księżęcej od Łazarza do „Siódemki” buduje się barykadę. Nad wieczorem ma miejsce pierwszy wypad Niemców z Muzeum Narodowego. Wypad odparto, ale nieprzyjaciel mści się tak gwałtownym ogniem, że trzeba budować dodatkowe ziemne przełazy. Z zaprowiantowaniem ciężko. Ludzie wyczerpani zaczynają chorować. Sytuacja przypomina najcięższe chwile Starówki. Od strony Muzeum i Sejmu ustawicznie walą. Nacierające czołgi odpiernają się nielicznymi piętami. Artyleria niemiecka również nie próżnuje, bijąc przede wszystkim w przyczółek wiślany, na Smolnej obserwuje się ciągły ruch piechoty. Od 11-ego do 12-ego września chłopcy nie opuszczają na chwilę stanowisk. O godz. 20-tej, zamiast spodziewanego odpoczynku Niedźwiedzie przypuszczają kontratak, by nie dopuścić Niemców na skraj skarpy. Kontratakuje się udaje, sytuacja jest uratowana. Lecz nie na długo. Wkrótce znowu rozpoczyna się straszliwa kanonada. Sztukasy, czołgi, granatniki urządzają piekielny koncert, który jednak kończy się po 20 minutach. Zostaje zrany Niemy, właśnie dnia tego odznaczony z kolei KW. Przenoszą go do szpitala w ZUS-ie, który nazajutrz zostaje zbombardowany i spalony. Niemy ze złamaną nogą cudem ratuje się z tego piekła.

Niebawem pada Łazarz. Ostatnie po zostało przy życiu Niedźwiedzie dostają się w ręce niemieckie, lecz niektórym udaje się wymknąć.

Choć Niedźwiedzie nie uległy, jak Mieczki, jednorazowej zagładzie, lecz straty ich były nie o wiele mniejsze. Gdyby urządzić apel poległych i apel

żywych obu tych jednostek, pozostali przy życiu stanowiliby nieliczną garstką. Oba oddziały wykazywały cały czas niezwykłą odwagę, energię i ofiarność.

ŁĄCZNOŚĆ

Łączność, jak zwykle, pełniły przeważnie kobiety, czy to w oddziałach K. N.-u Mieczkach i Niedźwiedziach, czy bezpośrednio w oddziałach AK (Nina, Joanna Krystyna), czy przy K. G. (Warzycka), czy wreszcie w sztabie ptk. Radosława.

Wiele z nich zginęło. Zasypana bombą lotniczą poległa promieniująca entuzjazmem i dobrocią Hela Warzycka (Jamontówna Helena), tak dobrze znana w konspiracji ze swej niestrudzonej pracy w zakresie więziennictwa. Mimo swoich poważnych funkcji, Hela była tak prosta i naturalna w sposobie bycia. Przy tym zawsze spokojna i opanowana. Już sam rzut oka na jej dziwnie miłą, okrągłą twarzyczkę budził jakieś ciepłe uczucie w sercu.

Kiedys w końcu sierpnia Hela, zawsze uśmiechnięta i niestrudzona, jest dziwnie zmęczona czy przybita. Po raz pierwszy daje temu wyraz w rozmowie. I tegoż dnia ginie. Przechodzi właśnie z meldunkiem przez dom, w który trafia bomba. Nie ma już czasu wyskoczyć. Spiętrzony stos bezlitosnych gruzów staje się jej grobowcem — pomnikiem. Tak dziwnie nie licującym z jej pełną czarą prostotą. Powinny być raczej na stołecznej, rozkwitłej dzwoneczki polanie...

Zginęła Nina (Wyleżyńska Nina), niestrudzona łączniczka por. Gałzki, owiana sławą łączniczki bojowej, którą nawet sam kpt. Niebora, nie uznający w pierwszych dniach Powstania kobiet. Jako łączniczek, już wtedy wysyłał z meldunkami. W końcu sierpnia chora na czerwone, w stanie całkowitego wyczerpania trafia na koniec do szpitala na Krzywym Kole, gdzie w rozmowach z koleżankami wspomina często dom, pragnie żyć, gotowa, mimo osłabienia, przejść kanałami. Ranna podobno w czasie próby przedarcia się górą, kiedy to ginie Uderzeniowiec Połaniecki (Orlikowski Stanisław), zostaje zasypana bombą lotniczą w czasie nalotu na szpital.

Łączniczki sztabowe, albo jak Halina były w Dowództwie od samego początku, albo zostały przydzielane z poszczególnych jednostek w pierwszych dniach Powstania. Zetknęły się tam z wieloma ludźmi, weszły do dużego zespołu, starając się gorąco, jak najlepiej reprezentować Konfederację Narodu. Dzieliły wiernie dole i niedole Dowództwa, przeżywając głęboko radosne zwycięstwa na Woli, ponurą grozę Starówki, piekło Czerniakowa.

Pierwszy tydzień Powstania pozostanie na zawsze w pamięci jako krótki, ale niezapomniany okres prawdziwej wolności. Wtedy jeszcze można było mówić o regularnej wojnie. Łączniczki mają wówczas swoje stałe przydziały, przeważnie macierzyste oddziały, z którymi utrzymują kontakt, zakwaterowane i zaprowiantowane, jak w normalnym wojsku. Otrzymują też zaraz w pierwszych dniach wspaniałe umundurowanie ze zdobytch magazynów niemieckich. Jeszcze nie ukazały się nad Wolą zbrodnicze sztukasy, na dachu Dowództwa na Okopowej 41 dumnie powiewa wzniesiony ku niebu biało-czerwony sztandar. Ze śpiewem przechodzą obok maszerujące oddziały. Zdobywane czołgi i moździerze pieszczą żarliwe serca słodkim złudzeniem, że i my posiadamy sprzęt techniczny. Czołgiści wraz z poległym później ppor. Genkiem Rawiczem (Eug. Romańskim) szybko „obłaskawiają” pojmane tygrysy. Najeżone cęglami i żelastwem barykady jeszcze nie tarasują wszędzie ulic, którymi jeżdżą swobodnie powstańcze samochody z wymalowanym na nich białym napisem „Czata 49”. Biuletyny radiowe są oficjalnie odczytywane na wieczornych odprawach, a tajne do niedawna ga-

zetki rozrzucą się beztropko po stołach. Łączniczki żyją w jakimś dziwnym upojeniu, skarżąc się jedynie na brak pracy. Wyrzucają się do akcji, do każdej nadarzającej się roboty.

Zwolna horyzont zaczyna się zaciemniać. Jak pierwsze zwiastuny nadchodzącej burzy, jak złowrogie błyskawice, — ukazują się sztukasy. Rychło w ślad za błyskawicami lecą bomby. Wzmaga się również obstrzał artyleryjski. Granatniki rozpoczynają opętńczy taniec. Ich ofiarą pada już 7 sierpnia Magda (Morawska Magdalena), prześlizgną młoda dziewczyna. Jeszcze dnia poprzedniego przydzielona do pułk. Radosława i gen. Bora stała przy zdobyczym czołgu, zięjącym ogniem zniszczenia na nadchodzących Niemców. Teraz, gdy sła meldunkiem, pod samym dowództwem dostała odłamkiem w brzuch. Zawsze dzielna i opanowana mężnie walczy z potwornym bólem, nie wydając ani jęku. Tylko cudna twarzyczka mroczy się, dziwnie żółknie, a subtelne rysy nagle zaostrzają się. Magda nie chce umierać, ale śmierć już mocno ją trzyma w swych lodowatych dłoniach. Przewieziona do szpitala Magda umiera jeszcze przed operacją. Pochowana na dziedzińcu Jana Bożego.

Jest groźnie. Czarne chmury dymu przesycają powietrze. Wieczorami niebo płonie od rozkwitłych na nim łun, jakby wchłonęło w siebie całą przelaną krew. Pułk. Radosław zarządza odprawę. Daje możliwość odejścia do rezerwy na Stare Miasto. Dla łączniczek K. N.-u sprawa jest zupełnie jasna. Zostają. Nic w tym dziwnego. Powinny zostać. Ale czy powinna zostać i Halina?

Zastanawiam się nieraz, w czym leży niezwykłość Haliny. Bo, że była nieprzeciętną istotą — jest to dla mnie zupełnie jasne. Sądzę, że jak to kiedys podkreślił Kiejstus (Hagmajer J.) — siła Haliny leżała w miłości, w miłości czynnej, heroicznej. Bo że ta młoda kobieta zostawiła w domu dwoje małych dzieci i poszła na pierwszy zew, to nie był chwilowy poryw, czy lekkomyślna fantazja, lecz krok głęboko przemyślany, wynik logiczny całego Jej nastawienia. Halina szła prostą drogą, zachowując hierarchię celów. Wierzyła w Boga, ufała Mu. Każym swym życiem realizowała tę wiarę. I teraz nie mogła inaczej postąpić. Została, choć sytuacja z dnia na dzień stawała się tragiczniejsza.

11 sierpnia po bitwie o Stare Miasto, gdy ptk. Radosław brawurowym atakiem wywalczył drogę z Woli do Starówki, po bitwie, w której brały też udział łączniczki, cała Grupa przemaszerowała na Stare Miasto. Gdy po bitwie jej mjr. Bolek zwrócił się do szefa łączności Irny, że ma prawo wszystkie swe łączniczki przedstawić do KW. Halina marzy, jak dziecko szczęśliwym powrocie do domu z odznaczeniem. Otrzyma je dwukrotnie, ale do domu nie wróci. Pierwszy Krzyż Walecznych zostanie Jej przyznany za ratowanie rannego pułk. Radosława, drugi wraz z awansem na porucznika już po śmierci.

Nazajutrz po przejściu na Starówkę zostaje ciężko ranna Wiktoria (Borczyk Maria). Wiadomość o tym robi przynębiające wrażenie. Jeśli można człowiekiem określić jednym słowem, to Wiktoria

WARUNKI PRZYJĘCIA DO SEMINARIUM DUCHOWNEGO WE WROCŁAWIU

We Wrocławiu z końcem września zostanie uruchomione Seminarium Duchowne (pl. Katedralny 14). Przyjęcia zaś odbywają się już teraz. Kandydaci mają złożyć podania — najlepiej osobiście — i załączyć: szczegółowy życiorys, metrykę, świadectwo moralności (w kopercie zamkniętej) od ks. proboszcza i od ks. prefekta i świadectwo dojrzałości.

NOWOŚĆ

Książeczka do nabożeństwa dla naszych najmniejszych, nie umiających jeszcze czytać p.t.: „Trzyletnia Jadwinia w kościele”. Zawiera wiele obrazków dla dzieci, i krótkie wyjaśnienie o mszy św. dla matki.

„Trzyletnia Jadwinia w kościele” jest pięknym podarkiem dla dziecka oraz wielką pomocą dla ochronki i przedszkola.

Cena zł. 60.—

Książka do nabożeństwa dla młodzieży i starszych ułożona w duchu św. Teresy od Dzieciątka Jezusa p.t.: „Jak kochać Jezusa”. Wydanie trzynaste. Cena zł. 250.— Zamawiać: Księży Pallotyni, Poznań, ul. Wojszyńska 29.

W świecie...

STANY Zjednoczone nie szczędzą wysiłków aby przejść jak najszybciej do zrealizowania swych planów w Europie. Napotykają jednak w swej akcji na coraz to nowe przeszkody. Główną przyczyną trudności jest tu problem Niemiec i jego związanie w myśl koncepcji Marshalla. W czasie obrad Komitetu Współpracy okazało się, że projekty USA związane z przyszłością Niemiec wywołują szereg zasadniczych zastrzeżeń. Przede wszystkim Francja onosi się nader krytycznie do amerykańskich poczynań w Zagłębiu Ruhry.

Marshall trwa jednak na stanowisku pominięcia Francji przy układaniu wytycznych polityki okupacyjnej.

Ostatnio zaznaczyły się kilkakrotnie pewne zadrażnienia w stosunkach między USA a Wielką Brytanią. Kłopoty gospodarcze tej ostatniej zwiększają się stale, nowy kryzys węglowy zbliża się szybkimi krokami, pożyczka amerykańska topnieje w błyskawicznym tempie i Anglia staje w obliczu przykrej ewentualności: uzależnienia się od zamorskiego sojusznika.

Sir Cripps mówiąc o komplikacjach gospodarczych swego kraju zaznaczył wyraźnie, że Wielka Brytania walczyć będzie o zachowanie suwerenności gospodarczej. Niewątpliwie przejawami tej walki są takie fakty — jak uparcie podtrzymywane przez Anglię żądania nowej konferencji węglowej, ostre krytyki układu finansowego z USA, głos „Timesa” domagający się kontroli czterech mocarstw nad Zagłębiem Ruhry i wreszcie nieoficjalne poparcie udzielane Francji w jej dążeniach do zajęcia pozycji czynnika decydującego na równi z mocarstwami.

Tak więc zakrojona na wielką skalę amerykańska ofensywa polityczno-gospodarcza (terenem jej stały się ostatnio i Chiny) natrafia na opór nawet w krajach, na których współpracę Waszyngton liczył najbardziej.

Jednocześnie rząd amerykański dokonał innych posunięć, które zapewne nie płyną dodatnio na jego popularyzację w świecie. Odmówiono więc pomocy Polsce. W związku z tym Marshall oświadczył, że decyzja ta nie jest wynikiem nie wzięcia przez Polskę udziału w konferencji ryskiej, a jedynie logicznym wnioskiem raportu Harrisona. Harrison bowiem podróżował ostatnio po Polsce i stwierdził, że pomoc nie jest konieczna.

Niewiadomo też jak ustosunkuje się opinia światowa do „wycieczek” deputowanych Kongresu, którzy podzieleni na kilka grup będą sytuację w poszczególnych krajach tak Europy, jak i innych części świata. Możliwe że wynik tych podróży będzie analogiczny do rezultatu misji Harrisona.

Tymczasem St. Zjednoczone wprowadziły poważne ograniczenia importowe, ograniczające przede wszystkim wywóz ropy i benzyny.

W najbliższym okresie czasu Stany Zjednoczone przeprowadzą badania sytuacji i próby częściowej realizacji swych zamierzeń (mówi się znowu o pakcie czterech mocarstw). Kongres bierze się dopiero w roku 1948 i wtedy to dopiero okaże się czy tzw. plany pomocy Europie mają szanse urzeczywistnienia.

najlepiej scharakteryzuje wyraz „harmonia”. Mimo, że tak jeszcze młoda Wiktoria doskonale wie, czego chce i wie, jak dążyć do celu. Ta niezwykła równowaga wewnętrzna wyciska swe piętno na charakterze, a nawet na jej twarzyczce. Przy tym to urodzony żołnierz - plutonowy - podchorąży jeszcze z Uderzenia, po Powstaniu mianowana porucznikiem.

Spokojne dotąd Stare Miasto wraz z wtargnięciem w jego zacisze zbrojnego zastępu z Woli szybko zaczyna zmieniać swój wygląd. Wkrótce Starówka staje się terenem zaciętych walk. Nie ratuje sytuacji oczekiwany od dawna grzut.

14 sierpnia ginie Halina, gdy wraca od rannego pułkownika Radosława. Pada trafiona nielitościwym pociskiem w chwili, gdy przechodzi między zdradzieckimi wagonikami koło muru ghetta. Na drugi dzień dopiero znajdują ją żołnierze i przynoszą do sztabu. Z zapadnięciem mroku spocznie na dziedzińcu Fiata na Sapieżynskiej w prostej żołnierskiej trumnie, do której zropczaczone koleżanki włożą jej ostatnie najbiedniejsze kwiaty Starówki, zapyłone i umierające. Pożegna ją Balk długim posępnym zamysleniem, a czarna noc rozświeci litościwie ciemności, jak kirowe zastopy. Żal wywołany śmiercią Halny jest szczery i głęboki. Tak bardzo lubili wszyscy tę młodą, śliczną kobietę, która niespokojna o los maleńkich synków i ukochanego męża, dowodzącego batalionem partyzanckim na rubieżach Polski, tak dzielnie i ofiarnie spełniała swój trudny obowiązek. Zaprawieni w walkach oficerowie nie mogą mówić spokojnie o tej śmierci. Porusza ich do żywego i oburza niesprawiedliwość losu, który każąc łączniczkom spełniać równie niebezpieczną, jak żołnierzom służbę, jednocześnie wystawia je bezbronnie na czyhające ze wsząd niebezpieczeństwa. Nawet Ojciec Paweł, tak otrzaskany ze śmiercią — nie może się pogodzić z tym zgonem. Halina była tak potrzebna! Nie powinna była zginąć.

Ojciec Paweł, choć wszędzie obecny, główną swą kwaterę ma również w sztabie, dokąd z Krzysiem Tyszkiewiczem, Dominikiem, Skorupką i Dalicką przybył jeszcze na Woli. Zdecydowany przeciwnik Powstania w poprzedzających je tygodniach — po wybuchu osadza, że jego miejsce jest przy walczących, których od tej chwili nie opuszcza. Nie sposób objąć w kilku słowach ogrom dzieła tego człowieka - Apostoła. Jego przepiękne msze polowe z kazaniem, których każde słowo padało, jak klejnot do żarliwych serc, msze, po których udzielał ogólnego rozgrzeszenia in articulo mortis porwały najbardziej opieszających, dodawały mocy najbardziej znużonym. Wśród rozplamionych, buchających ogniem, druzgotanych domów ginącego miasta, wśród szaleństwa bomb, „szaf”, granatników, artylerii chodzącej między rannymi, zdrowymi i poległymi, niosąc wszystkim pomoc, pociechę i ulgę. Był z nami przez kilka dni Śródmieście, gdzie został parokrotnie zasypany w czasie nalotów, zstąpił po raz drugi z wojskiem do kanałów, by na niszczonym bezlitośnie Czerniakowie wpaść w ręce wroga.

Z łączniczek K. N-u już tylko Basia dotrwała do końca na Czerniakowie, gdyż ranne Wiktoria i Scarlett zostały na tydzień przed tym ewakuowane kanałami na Mokotów. O ile Wiktoria stanowi ideał żołnierza ze wszystkimi jego najlepszymi zaletami, jak karność i zdyscyplinowanie, o tyle zachowała, zadzierzasta, nieustraszona Basia ma w sobie coś z Kmicica. Z pewnością ma jego fantazję. Gdy koło Jana Bożego pocisk dosłownie przelatuje koło niej, może nawet muskając jej tygrysa, ona nieuleknie odrzuca tylko głowę i wybuch śmiechem. Na Czerniakowie pozostaje do ostatka, przygotowana każdej chwili na pewną śmierć. Wydeptyje szlaki do najcięższych pozycji, bie-

ga wzdłuż brzegu skrwawionej Wisły podczas częściowej przeprawy na drugą stronę. Przechodzi polem wraz z resztą zgrupowania na Mokotów i po upadku tegoż ucieka wraz z Scarlett z transportu po drodze do Pruszkowa, podobnie, jak pędzona w innym transporcie Wiktoria.

SLUŻBA SANITARNA

Sanitariuszki Konfederacji Narodu, bądź to przy własnych, bądź przy innych oddziałach, czy wreszcie po przydzielaniu indywidualnie lub zespołowo do szpitali, wykazywały zawsze odwagę, karność i poświęcenia.

Zaraz pierwszego dnia Powstania ginie Wanda (Kurzynianka - Seredyńska). Wybiega do rannego pełna entuzjazmu i zapału i pada na miejscu, ginąc przepiękną śmiercią, zeznawszy tylko niezapomnianego upojenia o twartej walki, wierząc w zwycięstwo, nie przeczuwając przyszłych okropności.

O ileż okrutniejszą będzie śmierć Kamy (Borezyk Krystyny), siostrzyczki Wiktorii, która ciężko ranna w czasie nalotu na szpital na Starym Mieście umrze nieprzytomna po kilku godzinach z grubą warstwą bandażu na dziecinnej, prześlizniętej twarzy.

Ileż ich poległo — tych dzielnych, pełnych zapału dziewcząt!

Zginęła Marysia Czarna (Millerówna Maria), wysoka, zgrubna z burzą czarnych loków, która w tyłu walkach zbierała rannych i szczęśliwie wyszła nawet od Pfeffra. Ciężko ranna w brzuch Iza (Wilbikówna) umiera po kilku dniach na Czerniakowie w ciężkich męczarniach.

Niewiadome są losy pozostałej na Czerniakowie Marysi Rzeckiej i Oli rannej w brzuch w szpitalu na Krzywym Kole. Ofiarności Oli zasługuje na szczególne podkreślenie, gdyż mimo sztywnej nogi, pozostałości po ranie, odniezionej w czasie pełnienia służby sanitarniej w 1939 r., teraz znów podjęła tę samą pracę.

Cudem wyszły: ciężko ranna jeszcze na Woli przemiła blondyneczka Zosia i drobniutka Sławka, choć obie tyle razy były w potwornych tarapatkach. Ocalała dzielna Paulinka, choć bohatersko zdecydowała się wraz z trzema dziewczętami pozostać z rannymi na Starym Mieście. Sama jedna wyszła z wymordowanego bestialsko szpitala.

A któż nie pamięta Zuzanny, przeprowadzającej rannych przez kanały i opiekującej się nimi z najczulszą troskliwością i niespożytą energią. Zuzanny ciężko rannej w oko, a opiekującej się dziećmi swej poległej siostry, łączniczki pułkownika Radosława — Haliny.

A czyż można nie wspomnieć o dwóch młodzieńskich sanitariuszkach, które przez 6 godzin bez przerwy odkopywały pod obstrzałem zasypanego porucznika, narażając się na pewną śmierć w razie runięcia domu. Za swój wyczyn otrzymują obie K. W.

Może zapomniałem tu wymienić jakieś imiona. Nie sposób w tym pobleźnym opisie, nie mając prawie żadnych materiałów poza dwoma pamiętnikami i własną pamięcią, podać dokładne dane o wszystkich osobach, rozsianych w ramach liczącej koło 3.500 osób grupy.

Jedno wiem. Zarówno te wymienione, jak i te może niechący pominąć, żywe czy poległe koleżanki, spełniły wszystkie z pewnością bohaterskie swe najtrudniejsze obowiązki. Gdyż zadania sanitariuszek graniczą zawsze z bohaterstwem. One jedne nie mają nigdy możliwości schronienia się przed obstrzałem za zbawczym murem, czy w litościwym zagłębieniu ziemi. Opatrunki rannego muszą stać przy nim niezachwianie i swą nieulekłą postawą ochraniać i krzepić od nich już tylko zależnych bezbronnych, cierpiących żołnierzy.

Historii grupy sanitarniej z szpitala Karola i Marii, z Kiejstutem na czele, słucha się zawsze z zapartym oddechem i zachwytem jednocześnie, jak najnieprawdopodobniejszej bajki. Ta garstka ludzi ośmieliła się postą-

Robert Stiller

Fantazja o 73 plutonie

My jesteśmy liniowcy, szatani okopu,
Kropła dżdżu nie przeszkadza mosiężnych trąb salutem.

My, kilkudziesięciu prostych chłopów,
My, siedemdziesiąty trzeci pluton.

My, malowani chłopcy w mundurach koloru khaki,
Na tle płonącego okopu w sam raz dla malarza.

Tylko, że lubimy wyrzucać na ziemię zielone flaki,
Ze jest w nas to, co ich i nas i gna i przeraża.

Nam po co głupie smugi błękitnego porywu?
Wystarczy chłupot butów, oczy wybałuszone, zdyszane oddechy.

My patrzymy po sobie: kiedy też jakiś wybuch
Jak czerwoną bieliznę rozwiesi na słońcu bebechy.

Oslizgnie się but pośpieszny po mokrej krawędzi okopu.
Spojrzymy niebu, niebu w twarz gwiazdami zapluta.

My, kilkudziesięciu mocnych chłopów,
My, siedemdziesiąty trzeci pluton.

pić tak właśnie, jak postąpić byli za. Tam muszą zatrzymać się i pozostawić rannych. Gdy oddalą się nieco, usłyszą strzały, które nie pozostawiają im żadnych wątpliwości, co do losu nieszczęsnych ofiar. Niemcy dopytują się o naczelnego lekarza, lecz ów, cały czas nie odznaczający się odwagą, i teraz woli pozostać w ukryciu. Wówczas występuje dr. Kmiciekiewicz, ordynator szpitala Ujazdowskiego, mający na Woli tylko przydział konspiracyjny. Ten cudowny człowiek cały czas niósł rannym pomoc i opiekę w najtragiczniejszych momentach. Teraz nie waha się poświęcić siebie, by ocalić innych od niechybnej śmierci. Ginie na miejscu zastrzelony przez rozszalałych Niemców. Znow rozpoczyna się przesmutny pochód. Wreszcie cel drogi — szpital Wolski.

Tam znow rozstrzeliwuje się ludność cywilną, którą dołączono, po drodze. Parter szpitala zajmują Niemcy. Polaków umieszcza się na górnych piętrach. Biała Antylopa z wrodzoną sobie fantazją już na drugi dzień prze dostaje się na zakazany teren na parterze, aby zasięgnąć języka, co jej się oczywiście udaje. Po kilku dniach zaczynają napływać ranni, wśród nich wielu Powstańców Sanitariat K. N-u pracuje z całą ofiarnością, ocalając wielu żołnierzy. Wynalazczość i pomysłowość mają tu wspólnie pole do popisu. Wszelkimi sposobami wysyła się Powstańców jako rannych cywilnych do prowincjonalnych punktów sanitarnych, byle tylko umożliwić im ucieczkę i uchronić przed niewolą, czy śmiercią. Przez blisko dwa miesiące trwa praca w tych okropnych warunkach, każdej chwili, grożącej śmiercią.

Gdy wreszcie po ukończeniu Powstania rozejdzie się wieść o cudownym ocaleniu tej grupy, będą witani przez opłakujących ich już kolegów, jak powracający z tamtego świata.

Powrót Kiejstuta będzie dla wielu członków Konfederacji Narodu silnym zastrzykiem optymizmu i wiary w ostateczne zwycięstwo.

W nocy z 5 na 6 sierpnia zjawiają się żandarmi niemieccy. Zapowiadają, by nikt nie opuszczał terenu szpitala, po czym bez żadnych gwałtów odchodzą. Po dwóch godzinach dopiero wpada wojsko. Kałmucy dobiegają rannych, mordują, grabią. W końcu syci zniszczenia i rabunków wypędzają pozostałych. Czasem życie ludzkie zależy od drobiazgów. Gdyby poprzedniego dnia Biała Antylopa nie przyniosła Kiejstutowi spodni cywilnych, zamiast noszonych przez niego wojskowych niemieckich, rozstrzelano wtedy z pewnością. Niemcy dzielą ludność na dwie grupy: lekarzy i pielęgniarki oraz cywilnych. Uślężani przez sanitariat K. N-u pozwalają zabrać część rannych. Dźwigając nosze, podpierając z trudem idących rekonwalescentów, grupa rusza na przód. Dochodzą do pamiętnego krzy-

żan. Ci, co pozostali przy życiu są odpowiedzialni nie tylko za swój dorobek, ale również i za osiągnięcia poległych kolegów i koleżanek. Od nich zależy, czy te przedwczesne tragiczne śmierci okażą się niepotrzebną masekrą, czy świętym tworzywem, cementującym zręby wielkości.

Andrea Otto-Tonhuru

KATECHIZM

naistańszy i najbardziej nadający się dla młodzieży

Ks. dr Win. Helenowski

Gostynia, wojew. Warszawskie

Stanisław Podlewski

PRÓBA BILANSU STRAT

Powstania Warszawskiego

I.

Chyba najbardziej pamiętny dla ludności i obrońców staromiejskiej dzielnicy był w powstaniu dzień 13 sierpnia 1944 r. Wypadła akurat niedziela. Od rana prała zdrowo artyleria, ryczały salwowe moździerze. Od południa wszystko nagle dziwnie ucichło. Ludzie zaczęli wychodzić z nor i z piwnic na powietrze. Wielu mieszkańców starym zwyczajem szło do kościołów na niespory. Rozpostarła się leniwa słoneczna popołudniowa cisza.

Na barykadach stały tylko czujki. Naraz od Krakowskiego Przedmieścia rozległ się chrząst gąsienic. Jeden z czołgów śmiało wjechał w ramiona ulicy Podwale i jak baran rogami uderzył o kamienną barykadę. Chłopcy obrzucili go butelkami zapalającymi. Zaczął kopcić. Kierowca zdążył zbiec. Tymczasem ogień zdążył ugasić; szybko rozebrało barykadę i czołg z triumfem wśród największego entuzjazmu wprowadzono w mury Starego Miasta.

Tysiące ludzi zbiegło się ze wszystkich stron, a czołg oblepiony młodzieżą i dziećmi jechał żywym szpalierem, jak rycerz po zwycięskim spotkaniu w turnieju. Naraz jakaś niesamowita eksplozja zatargała powietrzem, wstrząsnęła murami, a setki ciał jak z kaptuły wyleciały wysoko w powietrze i opadło.

Gdy kurz i dym rozwiął się, oczom wszystkich ukazał się niesamowity widok, krwawe kłębowisko ponad pięciuset ciał. Z ogromnej kałuży krwi zaczęły wypływać nagie, osmalone ludzkie mopsy, wzywać i błagać o ratunek.

W oknie, na piętrze gmachu Ministerstwa Sprawiedliwości stał wówczas gen. Bór i obserwował to widowisko. Ow straszliwy pęd powietrza z niesamowitą siłą rzucił go na podłogę i na ścianę.

W swoich pamiętnikach, wydanych po angielsku „The Unconquerables” wspomina Bór, że ow wybuch spowodował u niego pewien rodzaj zakłócenia przytomności. Ból chwilami był tak silny, że czasem nie mógł myśleć i widzieć, i ten stan trwał do końca powstania.

Ta krwawa masakra była niejako pierwszym akordem w symfonii zagłady staromiejskiej dzielnicy.

W całej okazałości stanęła przed oczyma ludności i obrońców wizja tego, co ich czeka w najbliższej przyszłości. Widmo zagłady nie zejdzie im z oczu.

Następnego dnia, gdy już minęło zbiorowe odrętwienie, gdy znane stały się wszystkie okoliczności owej tragedii i liczba ofiar, zaczęły się podnosić ostre słowa krytyki naszego dowództwa, zaczęto gromadnie zastanawiać się nad sensem powstania, szukać winowajców i ludzi, którzy są odpowiedzialni za to wszystko, co wokół dzieje się.

Tak złożyło się, że w obszernej ostrołukowej piwnicy schroniło się kilkadziesiąt osób.

Byli tam: profesor i docent Uniwersytetu, stary szewc, z dziada pradziada siedzący na Zapiecku, akuszerka, ranny pułkownik, który nie chciał leżeć w szpitalu polowym, dwie przekupki staromiejskie, które już oberwały odłamkami, profesor gimnazjum, bezrobotny dziennikarz, wyższy urzędnik magistratu, dozorca kamienicy... i jakiś zakonnik, pełniący największym poświęceniem swoje posłanctwo.

Każdy przytaczał w dyskusji jakiś argument.

— I pomyśleć — mówił stary szewc, z wąsami jak wiechy. — Tak łatwo i głupio daliśmy się wyprowadzić w pole. Kilka takich czołgów, wypuszczonych w kilku miejscach równocześnie, a byłoby po nas, po naszych wodzach... Nikomu nie przyszło do głowy, że to chytry podstęp szkopów. Rzucało się w oczy. Czołg jedzie na wariata, kierowca ucieka... Tym chłopcom i dzieciom nie możemy się dziwić, doświadczenie i rozważę zdobywa się latami i służbą, ale gdzie są dowódcy, oni winni wszystko przewidzieć...

Oni są odpowiedzialni...

— Co tam mówić o odpowiedzialności — zauważył ktoś inny. — Młodzię co chce to robi, narzuca swoją wolę starszym, nadaje ton wypadkom. Na rezultaty nie trzeba długo czekać. To szaleństwo...

Przekonywujące argumenty coraz przytaczał ów urzędnik magistratu:

— Prezydent Starzyński zamierzał odtworzyć średniowieczną Warszawę, skasował przed tą wojną komunikację autobusową na Starym Rynku, aby od wstrząsów nie ucierpiał stare mury, a teraz nasi wodzowie nabezmyślnie uczynili sobie w tych murach fortecę. Niemcy walą ile wlezie z najcięższych dział na lorch kolejowych, które kruszyły nowoczesne żelazo-betonowe forty Sewastopola. To szaleństwo... rozpocząć walkę w starych murach... to zbrodnia, wolać o pomstę do Boga.

Cóż ci ludzie robią ze stolicy wielkiego narodu — perorował ów nauczyciel. — Przecież Polska to nie Meksyk, Gujana, jakiś tam Paragwaj, czy Urugwaj. Co kilka lat stolica staje się polem walki, fortecą.

W czasie zamachu majowego 1926 roku na ulicach odbywały się walki oddziałów. We wrześniu 1939 roku miasto staje się fortecą. Broni się bez żadnych szans zwycięstwa, gdy nikąd nie może spodziewać się pomocy, gdy nawet sojusznicy ją opuścili, zdradzili...

Szczytem wszystkiego jest to nasze powstanie. Istnie szaleństwo rozpocząć walkę bez broni, amunicji, bez uzgodnienia z aliantami. Przucić się prawie bezbroni na najlepiej uzbrojoną i zaprawioną w długich bojach armię...

— Już w drugi dzień było wiadomo — zauważył ów ranny pułkownik, — że powstanie nie udało się. Radosław chciał ze swoimi oddziałami wyjść do Kampinosu. Miał jeszcze dwa czołgi, amunicję do dział... Trzeba było wszystkich wyprowadzić. Na co liczą dowódcy?... zapytuje.

Nieustannie żądają przesłania naszej brygady spadochronowej. Czyż nie zdają sobie sprawy, że nie ma najmniejszej możliwości technicznych przerzucenia na tyle setek kilometrów całej brygady, ze sprzętem i zaopatrzeniem.

— Co tam mówić o naszych oficerach, o naszych sztabowcach, gości im paść — wpadł w paroksyzm wściekłości ów inwalida — we wrześniu 1939 roku wysłali nas na czołgi z karabinami i lancami, a po tej klęsce o tyle się poprawili, że pchnęli nasze dzieci z butelkami zapalającymi na żelazne kolosy, „Tygrysy”, „Pantery”, na „Goliaty”. Niczego ci ludzie się nie nauczyli, niczego...

W tym szaleństwie jest metoda.

— Nikt nie miał prawa — dochodził o przeświadczenia ów zakonnik

— wplątać w koło udreki i skazywać na straszliwą śmierć pod gruzami, na nadludzkie cierpienia, na kalectwo wielotysięczne rzesze dzieci, kobiet, chorych i rannych...

Długo ciągnęła się ta dyskusja.

Dzisiaj, w trzecią rocznicę tych tragicznych zmagani, kiedy pragnę dać próbę bilansu polskich strat, przypomniały mi się te myśli, zdania i sądy z owej gorącej i przedziwnej dyskusji w piwnicy gdy trzęsły się mury drżała ziemia, coraz to kogoś przynoszono.

Wszyscy byli jednego zdania, że powstanie było szaleństwem. I dzisiaj dochodzimy do wniosku, jak i oni, że powstanie warszawskie było tragedią, jakiej nie znają nasze dzieci i jakie trudno zrzaleć w dziejach innego narodu.

Jesteśmy zdania, że było szaleństwem, które ma swój rodowód, linię genealogiczną w szczytach szwajców pod Samosierrą, w czynie ułanów pod Rokitemem...

Szaleństwa takie, które są przejawem bezmyślności kierownictwa politycznego, kosztują tragicznie drogo.

Suche cyfry i fakty, niech mówią za siebie.

II.

Siły powstańców w Warszawie, w godzinie W. (godzina wystąpienia zbrojnego) wynosiły ponad 700 plutonów, licząc przynajmniej po 50 ludzi w każdym. Ogółem 40.000 ludzi.

Nie można zapomnieć, że w tej liczbie było około 6.000 kobiet.

Stan uzbrojenia powstańców w Warszawie, z Pragę i powiatem warszawskim, według raportu ppłk. Leśnika (Szypowski), szefa uzbrojenia, wyniosło 1.475 karabinów, 94 ręcznych karabinów maszynowych, 20 ciężkich karabinów maszynowych, 30 karabinów przeciwpancernych i 35.000 granatów własnej konspiracyjnej produkcji.

Broni była złożona w różnych punktach stolicy i w godzinie W. nie wszystka znalazła się w rękach powstańców. Co prawda, była pewna liczba broni prywatnej.

Trafnie zauważono, że w chwili wybuchu stan uzbrojenia AK równał się sile jednego, najwyżej dwóch batalionów, dobrze wyposażonych.

Mimo, że broń nieustannie przechodziła z rąk do rąk, niewielki odsetek powstańców mógł ją posiadać.

Jeden z ostatnich raportów AK stwierdza, jakoby w godzinie W. było uzbrojonych 100 plutonów, licząc po dwie jednostki ognia na broń. (Jednostka ognia 30 naboń na kb., 500 na rkm. i 100 na ckm).

Trudno przecież uznać żołnierza za uzbrojonego, jeśli ma tylko brońkę zapalającą czy granat, a takich było najwięcej w powstańczej armii.

Gen. Bór w swoich pamiętnikach podaje, że jego pluton osłonowy Komendy Głównej, a więc uprzywilejowany i przeznaczony do specjalnych zadań, w chwili rozpoczęcia walki liczył tylko 33 ludzi i był uzbrojony w 15 karabinów i 40 granatów.

Ogromnie liczone na zdobycie broni i amunicji na wrogu. Miała ona uzupełnić broń, dotąd posiadaną, a ulegającą zużyciu w akcji. Wystarczy wspomnieć, że w przeddzień wybuchu powstania dowództwo AK wydało ze stołecznych magazynów kilkadziesiąt pistoletów maszynowych i amunicję do nich dla oddziałów działających w Białostocczyźnie i w Nowogródcczyźnie w akcji.

Zdolano ustalić większą część tej zdobyczy w ciągu całego powstania: 5 czołgów, 2 samochody pancerne, 7 moździerzy, 150 karabinów maszynowych, 27 pancerfaustów, 118 pistoletów maszynowych i 416 karabinów powtarzalnych.

Wyprodukowano w czasie powstania 42.000 granatów. Materiału wybuchowego dostarczyły rozbrojone niewypały „Goliatów”, pocisków, min, bomb. Ponadto zrobiono 87 miotaczy ognia, 10 granatników chemicznych, zbudowano dwa samochody pancerne „Kubuś” i „Szary wilk”, ze zgrupowania „Krybar”. Do tego stanu uzbrojenia dochodziły rzuty angielskie i rosyjskie. Od Anglesasów otrzymana stolica około 100 ton uzbrojenia. Od Rosjan bezsprzecznie znacznie więcej.

Walcząca stolica potrzebowała najmniej 5 ton uzbrojenia dziennie. A więc 315 ton na cały czas powstania.

Żywność była przygotowana dla oddziałów powstańczych, na stan 30.000 ludzi, na trzy dni. Była złożona w 5 magazynach, z których 3 znajdowały się w śródmieściu, zaś 2 na Pradze i te ostatnie nie mogą być brane pod uwagę.

Poza tym nieprzyjaciel posiadał w naszej stolicy ogromne magazyny żywności. Wszystkie niemieckie punkty oporu, rozrzucone po całej stolicy, wszystkie instytucje państwowe, fabryki, zakłady przemysłowe były bogato zaopatrzone. Liczone, że one wpadną od razu w ręce powstańców.

W przedostatnim tygodniu walki w murach naszej stolicy stan armii powstańczej wynosił 32.000 ludzi, z tego w pierwszej linii już tylko 18.000.

Do 15 sierpnia wszystkich nieomal powstańców wziętych do niewoli w krótkim przesłuchaniu rozstrzelano.

Ogółem dostało się do niewoli w Warszawie, według źródeł niemieckich, do których przychyła się radio angielskie, 11 tysięcy, w tym 942 oficerów.

Straty w ludziach oddziałów powstańczych da się już w przybliżeniu ustalić Mjr. Chirurg, szef sztabu gen. Montera, oblicza w dniu kapitulacji 1944 roku 9.700 zabitych, 6.000 rannych i 6.000 zaginionych.

Ostatni zeszyt „Bellony” przynosi ciekawą rozprawę pika dra St. Raczyńskiego, pt. „Straty wojska polskiego na tle zniszczeń Polski w obu wojnach światowych”. Podane są tam straty w powstaniu warszawskim: **13.000 zabitych i 28.000 rannych.**

Liczba zabitych w obu statystykach zgadza się, gdyż można uznać zaginionych za zabitych.

Dla komparacji należy tu podać, że w ciągu kilkuletniej konspiracji padło 20.000 zabitych i 30.000 rannych — żołnierzy Polski Podziemnej.

Nie najważniejszą i najistoźniejszą jest ta wielka liczba poległych żołnierzy w walce o wolność, a jakość i wartość tych ludzi. W powstaniu zginął sam kwiat intelektualny naszej młodzieży, przyszła rządząca elita umysłowa narodu, młodzież najbardziej ofiarna, aktywna i nastroszona na wysoki ton uczucia patriotycznego, awangarda postępu i twórczości.

Największe straty w ludziach poniosły oddziały Kedywu, które składały się przeważnie z batalionów harcercskich „Szarych Szeregów”.

Dla przykładu: batalion harcercski „Zośka” miał stan 600 ludzi, a padło 545. Kompania „Giewont” z tego batalionu nieomal cała została wybita.

Batalion „Parasol” liczył 800 ludzi, zginęło 500.

Może ktoś zapytać: a jakie były straty Niemców? W przybliżeniu da się ustalić. Około 20.000 zabitych i rannych.

Zniszczono około 300 czołgów, samochodów, dział szturmowych.

Teraz najgłośniejsze pytanie. Jak przedstawiają się straty ludności cywilnej, która dzieliła wszystkie niebezpieczeństwa, trudy i cierpienia żołnierzem powstańczym i tak wysoko dzierżyła sztandar wolności.

Na miesiąc przed wybuchem powstania Warszawa liczyła, według danych miejskiego biura statystycznego, 920.000 mieszkańców. Przepuszczając można, że około 50.000 było niemelodowanych i przybyłych z falą uchodźców zza Wisły.

W chwili wybuchu powstania ludność naszej stolicy mogła wynosić milion mieszkańców.

W żadnym bądź razie nie wytrzymują krytyki dane, nota bene sporządzone na użytek propagandy, że Warszawa w chwili wybuchu liczyła 1 milion 700 tysięcy, a straty 40 proc., czyli 700 tysięcy ludzi. Nie potrzeba przesadzać i tak potwornych strat.

Bühler, szef rządu Generalnej Gubernii, zeznał w procesie w Norymburdze, że w czasie zgniecenia powstania zostało wywiezionych do obozów koncentracyjnych w Rzeszy, około 50 — 60 tysięcy osób.

Liczba ta nie odpowiada prawdzie. Należałoby ją podnieść co najmniej do 100 tysięcy.

Tuż po zgnieceniu powstania prasa niemiecka podała oświadczenie Himmlera i Goebbelsa, że liczba zabitych mieszkańców Warszawy w czasie 64 dni krwawych walk wynosi ponad 200.000 ludzi.

Liczba ta jest najbliższa prawdzie, na pewno Himmlerowi i Goebbelsowi, w danej chwili nie zależało na umniejszeniu liczby zabitych.

Trudno nie wspomnieć, że wraz z ludnością poszedł z dymem lub uległ zniszczeniu pod gruzami, padł państwowy pożaru lub został rozgrabiony nasz wielowiekowy dorobek duchowy, kulturalny i gospodarczy. Straty wynoszą tu 70 proc. majątku narodowego (wg obliczeń prof. F. Miynarskiego).

Wystarczy przytoczyć kilka cyfr.

Przed powstaniem Warszawa, prawa i lewo brzeżna liczyła 24.724 budynków, z tego w czasie walki i po powstaniu zostało kompletnie spalonych i zburzonych 10.455 budynków. Nadają się one jedynie do rozbioru i wyburzenia.

Cało wyszło zaledwie niewiele budynków.

Stolica miała 987 zabytków z tego ocalało 64.

Świątyni Pańskich było 82. Z tego 25 leży w gruzach (23 ocalały, wymagają dużego remontu).

Ze 138 budynków szkół średnich tylko 64 nadają się jedynie do rozbioru.

Na 214 gmachów Szkół Powszechnych — zburzeniu uległo 81.

Bibliotek mieliśmy 31 — leży w gruzach 14.

Nie sposób tak dalek wyliczać naszych strat.*]

* * *

Warszawa, będąca natchnieniem wolności świata, stolicą wolności, nasz relikwiarz sławy, zawiera ponad 200.000 mogił żołnierzy powstańczych i ludności.

Taką cenę zapłaciliśmy za powstanie warszawskie

*) Ze względów technicznych zmuszeni jesteśmy opuścić wszystkie przypisy i aneksy.

Mieczysław Pruszyński

WOJNA W LIBII

PO PRZYJEZDZIE do W. Brytanii, po spędzeniu dwóch lat na Bliższym Wschodzie — otrzymałem z wielu stron pytania: „Jak walczył żołnierz angielski? Jak się spisywał żołnierz polski? Czy Australijczycy są istotnie tacy dzielni?”. Na tej podstawie mam wrażenie, że większość moich rozmówców na ogół niebardzo sobie zdawała sprawę z istoty wojny, zwłaszcza wojny nowoczesnej.

Męstwo żołnierza jest niewątpliwie dosyć ważnym elementem, mającym pewien wpływ na wynik wojny, lecz niewątpliwie nie najważniejszym. Od czasów pojedynku Dawida z Goliatem rola jego stale maleje na korzyść innych czynników. Przed wrześniem 1939 r. np. modne było wskazywać na „moral” żołnierza. Po wrześniu przysłała moda na „dysproporcję gospodarczą” i rolę przewagi sprzętu wojennego. Słusznie uznawano te czynniki za równie istotne. Luźne obserwacje, dokonywane zarówno na froncie libijskim jak na głębokich tyłach, od Kairu zacząwszy a na Teheranie i Kapsztacie skończywszy, układają mi się w syntezę, z której wyciągamy dwa wnioski. Pierwszy — o niezmiernie istotnej roli organizacji tyłów, „intendentury” w najszerszym słowa znaczeniu, w prowadzeniu nowoczesnej wojny. Drugi — o równie istotnej roli umiejscowienia władania nowoczesnym sprzętem. Zatem, obok pytań na temat bitności przeciętnego „George” (tak bowiem świat arabski zowie żołnierza brytyjskiego, naszego żołnierzyka wołając dla odmiany „Polish Georsem”) czy walorów żołnierza australijskiego — powinienem również otrzymywać pytania w stylu: „Jak tam spisywali się w Libii intendeci? Czy wodzę, benzynę, amunicję, opatrunki, żywność otrzymywaliście zawsze w porę? Jak tam w tej Libii było z władaniem nowoczesnym, zmotoryzowanym sprzętem? Czy dowódcy dawali sobie radę by z tak złożonym sprzętem i w tak szybkim tempie, jakiego wymaga wojna motorów, realizować odwieczną zasadę strategii i taktyki, tzn. aby w miejscu i chwili decydującej walki uzyskać przewagę sił? Czy radiotelegraficy, kierowcy samochodów i czołgów umieli posługiwać się swym sprzętem, nie psuli go, lecz przeciwnie, w razie czego umieli go naprawić?”.

Spróbujemy odpowiedzieć na te na ogół niestawiane nam pytania.

WOJNA KWATERMISTRZÓW

W czasie drugiej ofensywy brytyjskiej w Libii, tzn. rozpoczętej przez Auchinlecka w listopadzie 1941 r., ktoś nazwał ją równie dowcipnie jak inteligentnie wojną kwatermistrzów. Sprzymierzeni uderzali wtedy z trzech stron naraz: od południa po obejściu pustynią na Bardię, dalej w kierunku Tobruku, na Sidi Rezegh, wreszcie z Tobruku na tę samą miejscowość. Wojska zaś osi poprowadziły uderzenia w dwóch głównych kierunkach: na tyły brytyjskie, celując na ich główną kwaterę polową, oraz na Sidi Rezegh. W wyniku tych pięciu działań ofensywnych oraz istnienia na tyłach brytyjskich twierdzy osi w Bardii i Halfajji a na tyłach osi bazy brytyjskiej — Tobruku, powstał i trwał przez blisko dwa tygodnie wyjątkowy bałagan taktyczny w pustyni. Oddziały sprzymierzonych i osi krzyżowały się jak na szachownicy. Po pięciu dniach wyczerpały się zapasy wody i benzyny stron obu, i wznowienie dostaw kwatermistrzów stało się warunkiem sine qua non dalszych działań wojennych. Kwatermistrzowie w wozach pancernych, z busolą w rękę, z lornetką przy oczach i ze słuchawkami radiowymi na uszach, jeździli po pustyni na czele swych kolumn, szukając oczekujących zaopatrzenia oddziałów. Lornetki mało pomagały, bo obie strony używały zdobycznego sprzętu, i nie raz kolumna Chevroletów czy Morrisów okazywała się niemiecka, a znów w Lanciach i Horbach podróż-

owali Nowozelandczycy. Stacje radiowe obu stron nadawały fałszywe rozkazy a podsłuchiwały prawdziwe. Busola nie mogła zastąpić sekstansa. W tych warunkach, gdy szpitale polowe przechodziły co drugi dzień z ręki do ręki, nic dziwnego, że los ten spotykał i kwatermistrzów obu stron. Wielu z nich dostało się do niewoli. (Wśród kilku żołnierzy brygady karpackiej, którzy dostali się w okresie 10-miesięcznego pobytu brygady na froncie do niewoli, znalazł się jako jedyny, oficer, major, dowódca kolumny zaopatrzenia, który wraz z tłumaczem i kierowcą najechał zamiast na Anglików, na Niemców. Szczęśliwie się złożyło, że był ostrożny i że wolał narazić siebie niż dowodzoną kolumnę, dzięki czemu uniknęła ona losu dowódcy).

Po tygodniu bitwy kwatermistrze musieli przystąpić do naprawy lżejszych uszkodzonych samochodów, ciągników i czołgów — rezerw większych żadna ze stron nie miała. Bitwa uległa przerwie — do przewidzenia było że w drugiej rundzie odniesie zwycięstwo ta strona, która szybciej naprawi swe czołgi i wozy, zatem ta, która będzie miała lepiej zorganizowane przyfrontowe warsztaty reperacyjne. Oczywiście, przyfrontowi kwatermistrze nie mogli benzyny, wody, prowiantu, amunicji, części zapasowych dla motorów wytrzepać z rękawa, ale musieli sprowadzać je z baz głównych w delcie Nilu, położonych o 700 km od pola walki. Łatwo jest wymówić słowo „sprowadzić”, znacznie trudniej było je realizować w pustyni. Gdy linia frontu biegła swego czasu między Sidi Barani a Halfajją — od Marsa Matruh do Aleksandrii, tzn. na przestrzeni blisko trzech setek kilometrów przyfrontowych tyłów, powstało w pustyni jedno wielkie rozrzucone miasteczko. Gdy się jechało zosą lub koleją, bez przerwy widziało się namioty lub schrony. Były to magazyny, warsztaty reperacyjne sprzętu, lotniska, szpitale polowe, kantyny, stacje policji, pompy benzynowe, oddziały robocze naprawiające szosy, budujące koleje, zakładające nowe lotniska. Podczas gdy w pierwszej linii frontu stały wówczas zaledwie 4 dywizje, a więc ok. 60.000 ludzi, przypuszczam że na bezpośrednich tyłach tę bezładną przed wojną część pustyni zapełniło znacznie więcej tysięcy ludzi. Wybierając się po raz pierwszy samochodem z Aleksandrii do Marsa Matruh, oglądałem dokładnie wóz i sprawdzałem zapasy wody, mając w pamięci opisy wypraw transpustynnych: śmierci z głodu i pragnienia. Oczywiście, obawy te były płonne, ruch na tej szosie pustynnej był o wiele większy aniżeli w r. 1943 na przeciętnej szosie w Wielkiej Brytanii, co kilkadziesiąt kilometrów kantyna Naafi gościnnie reklamowała „piwo z lodu i jajecznicę ze świeżych jajek. Tak wyglądały bliskie tyły w r. 1941. A dalekie tyły, tzn. rejon Deltę? Na parę tygodni przed tą ostatnią ofensywą jechałem samochodem z Jerozolimy przez pustynię Sinajską do Kairu. Przestrzeń 100 mil, dzielącą anaf Sueski od Kairu, trzeba było jechać nogą za nogą a raczej samochód za samochodem, ilość bowiem wozów na tej szosie bynajmniej nie ustępowała Picadilly. Tu już nie były te, jak na trasie Aleksandria — Matruh, miasteczka, ale jedno wielkie miasto: portów, magazynów, składów, szkół, zakładów, warsztatów, obozów. To wielkie miasto, które powstawało w ostatnich trzech latach, było właściwym źródłem, miejscem porodowym ofensywy libijskiej. Dopiero widząc tę ilość za inwestowanego w Deltę materiału, pracy ludzkiej i czasu, można było

uzmysłować sobie rozmiar klęski sprzymierzonych, gdyby w lecie 1942 roku Delta przeszła była w posiadanie Niemców. W październiku 1942 roku to „miasto tyłów” przeżywało chyba swe apogeum. Wydawało się pewne, że gdy ta lawina czołgów, samochodów, armat i amunicji runie na El Alamein — dojdzie już tym razem aż do samego Trypolisu.

Przypuszczam że ciężar gatunkowy frontu a tyłów miał się jak 1 do 7, a może i jak 1 do 10 na korzyść tyłów. Tzn. tylekrotnie więcej ludzi i kapitału znajdowało się na tyłach niż na froncie. Stąd widać że dla głównodowodzących generałów na tzw. Bliższym Wschodzie zagadnienia taktyki i strategii odgrywały wielokrotnie mniejszą rolę aniżeli zagadnienia natury gospodarczej, technicznej, transportowej, sanitarnej. Przypuszczam, że generałowie Wavell, Auchinleck, Alexander byli bardzo bliscy w charakterze i zakresie pracy generalnych dyrektorów jakichś ogromnych kolektywistycznych koncernów transportowo - budowlano - sanitarno-rozrywkowych (setki kin, teatrów). Przypuszczam że w tych warunkach znacznie lepiej przygotowani do pracy w sztabie Bliższego Wschodu byłby np. p. Falter, dyrektor znanego koncernu śląskiego, który swego czasu stworzył organizację wywozu węgla ze Śląska przez Gdynię, uruchomił jego transport kolejowy i morski — aniżeli przeciętny przedwojenny dowódca pułku piechoty czy kawalerii.

Zresztą zagadnienia gospodarcze zajmowały w kampanii libijskiej również znacznie więcej czasu aniżeli taktyczne, również na froncie i również na najniższych szczeblach dowodzenia. Patrol, wypad, strzelanie liczyło się na godziny o ile nie na minuty. Natomiast zorganizowanie sobie możliwie najlepszych w pustyni warunków materialnego życia — zajmowało tygodnie lub miesiące. Dobry dowódca pododdziału w Libii swój czas przeznaczony na „prowadzenie wojny” dzielił mniej więcej tak: 99% zajmowały starania o żywność i wodę dla żołnierzy oraz naprawa sprzętu motorowego, a zaledwie 1% — strzelanie do nieprzyjaciela. Taki np. kpt. Rożański okazał się dobrym dowódcą baterii nie tylko dlatego, że był odważny i rozsądny na polu bitwy, ale przede wszystkim dlatego, że okazał wspaniałą myśl przedsiębiorcy i technika: po bitwie pod Sidi Rezegh, mając baterię wyposażoną w stare graty samochody i podłe przeciwpancerne działa włoskie, potrafił w ciągu kilku dni przezbudować ją w zdobyczne działa przeciwpancerne o najdonioślejszym wówczas w Libii kalibrze. Mój kolega i przyjaciel, który swą piękną śmiercią na patrolu z Tobruku przeszedł do historii brygady karpackiej, większość czasu spędzał na prozaicznej czynności prowadzenia uruchomionej przez siebie destylarni wody morskiej, dzięki czemu żołnierze baterii mogli mieć ponadkontyngent wody słodkiej. W czasie okupacji Cyrenajki, gdy w raz z baterią stałem w kolonii włoskiej, czułem się nie tyle dowódcą oddziału taktycznego, ile czymś pośrednim między ekonomem na folwarku a kierownikiem garażu. Z jednej strony bowiem zajęci byliśmy naprawianiem podniszczonych wojną sprzętu (oczywiście, samowystarczalnie, bo to było najszybciej, biorąc części zapasowe z porzuconych w pustyni wozów), z drugiej zaś — zakupywaniem drobiu i nierogacizny u ludności miejscowej drogą wymiany za zapasy mąki i makaronu z magazynów osi, zdobytych poprzednio na wojnie i przewożonych w specjalnie na ten cel prze-

znaczony 6-tonowej zdobycznej Lancii. Do funkcji kanoniera służbowego należało wtedy kontrolowanie stanu i wyżywienia drobiu, a podoficer służbowy miał funkcje odpowiedzialne do stopnia ważniejsze: opiekę nad nierogacizną. Codzień pod nożem kucharza, nb. dzielnego podchorążego, padał trupem ilość drobiu równa co najmniej stanowi baterii. A o ile wśród niektórych żołnierzy karpackiej brygady pozostanie o mnie kiedyś wspomnienie, to tylko dlatego chyba, że bateria nasza miała rekord wytrąbionego w ciągu sześciu tygodni 2.500 litrów wina białego, czerwonego, koniaku i anyżówki. Co innego że bateria była nie tylko dzielna i gospodarna, ale i gościnna.

Charakter wojny zmotoryzowanej wzmocnił znaczenie techniki, gospodarki i organizacji w prowadzeniu wojny. Ale już Sokrates w analizie cech dobrego dowódcy przede wszystkim wymienia zdolność do zapewnienia podwładnym żywności oraz innych środków materialnych niezbędnych do prowadzenia wojny, a dopiero na szarym końcu wymienia znajomość taktyki. Były głównodowodzący byłej armii Nilu w swych wykładach o dowodzeniu, wygłoszonych przed kilką laty w Cambridge, podzielił kilku Sokratesa. Lord Wavell uważa że sama taktyka jest bez porównania prostsza aniżeli zagadnienia z dziedziny administracji, które są nieskończenie bardziej złożone i których rozwiązywanie stanowi istotę dowodzenia na szczeblach wyższych i najwyższych.

Czas samej ofensywy oraz jej przygotowania są niewspółmierne. Rommel nawet w okresie apogeum swej chwały nie mógł stwierdzić: „Veni, vidi, vici”. Gdy baon c.k.m.-ów brygady karpackiej zajął w okresie pierwszej ofensywy brytyjskiej Bardię, odnalazł akta sztabu gen. Berzonoli, a wśród nich ciekawy dokument. Była to lista kilkuset pytań, przesłanych przez dowództwo niemieckie do dowództwa włoskiego. Dotyczyły one najrozmaitszych dziedzin techniki, medycyny, higieny. Niemcy np. prosili o podanie wpływu temperatury pustynnej na stan motorów, paliwa, smarów, konserw, środków lekarskich, zapytywali ile godzin żołnierz w pustyni może pracować, czy koszulę zmienia na noc, czy kałesony ma związane u dołu itd. itd. Na podstawie tego dokumentu słusznie zaczęliśmy przewidywać rychłe zjawienie się wojsk niemieckich w Libii. Wynik drobiazgowych przygotowań techniczno - gospodarczych sztabu niemieckiego do tej ofensywy moglibyśmy stwierdzić na niemieckiej blaszance na wodę i benzynę. Blaszanek brytyjskie z zasady ciekły, toteż z reguły oddziały otrzymywały podwójną ilość zapotrzebowanych blaszanek, ponieważ wiedziano z góry, że co najmniej połowa benzyny po drodze z Iraku na front wycieka. Na szczęście, powiedzenie Clemenceau, że kropla benzyny warta jest kropli krwi, było przesadne. Natomiast blaszanka niemiecka okazała się znakomita, mocna, wygodna, praktyczna, toteż była powszechnie przez wojska sprzymierzone poszukiwana i używana. Na szczęście, niepowodzenie z banką było wyjątkiem w regule. Zwycięstwo w Libii było w głównej mierze wynikiem może nieco powolnej, ale niemniej bardzo dobrej organizacji i administracji brytyjskiej.

SZTUKA WŁADANIA NOWOCZESNYM SPRZĘTEM WOJENNYM

Organizacja zaopatrzenia tyłowego, to bardzo ważny element nowoczesnej wojny, ale oczywiście, to nie jest jeszcze wszystko. Drugi istotny ele-

ment, to posiadanie nowoczesnego sprzętu wojennego, czyli przewagi czołgów, samolotów, artylerii, min. Doświadczenie kampanii libijskiej przyniosło w tej dziedzinie bardzo istotny wniosek. Oto, że sam fakt posiadania sprzętu nawet bardzo nowoczesnego i doskonałego, nawet przy dzielności, bohaterstwie, dobrym „moral” itd. żołnierzy, nie jest wystarczający. Idzie jeszcze bowiem o to, by tym sprzętem nowoczesnym umieć władać. Wymowne potwierdzenie tej tezy dały dwie bitwy: z Włochami pod Sidi Barani w grudniu 1940 r. i z Niemcami między Tobrukiem i Gazalą w czerwcu 1942 r.

W jesieni 1940 r. armie włoskie w Libii i Abisynii liczyły ok. 20 dywizji a imperialne w Egipcie, Palestynie, Sudanie i Kenii — ok. 5 dywizji. Przewaga lotnictwa i czołgów również była po stronie włoskiej. W tej sytuacji Egipt, Palestyna i wszystkie pozostałe kraje Bliskiego Wschodu powinny były dostać się we władanie osi. Tak się nie stało głównie dzięki błędowi Mussoliniego i naczelnego dowództwa włoskiego. Mussolini, obawiając się wzrostu wpływów partnera niemieckiego, nie dopuścił do udziału armii niemieckiej w ofensywie Grazianiego — tymczasem nie ulega wątpliwości, że użycie choćby dwóch niemieckich dywizji pancernych, wobec ówczesnej tak ogromnej słabości wojsk brytyjskich, niezależnie musiałoby doprowadzić do klęski. Po wtóre, Graziani zastosował fatalną strategię. Zamiast poprowadzić błyskawiczne natarcie na Kair, posuwał się w zółwim tempie 50 km na miesiąc, co pozwoliło Anglikom uzupełnić siły zwłaszcza w dziedzinie czołgów i lotnictwa. Wreszcie dowódca włoskiej dywizji pancernej dał się zaskoczyć w grudniową noc pod Sidi Barani i w ciągu dwóch godzin całą dywizją pancerną, gros włoskich sił pancernych, przestała istnieć przy stracie tylko kilkunastu czołgów i kilkudziesięciu poległych brytyjskich. Dowódca włoskiej dywizji pancernej znalazł śmierć gdy w kałesonach i z pistoletem w rękę wybiegł ze schronu, na odgłos wjeżdżających do obozu czołgów brytyjskich. Śmierć to była bohaterka, ale stwierdziła ona całkowitą nieudolność biednego gen. Maletiego do dowodzenia dywizją pancerną, do władania czterystu czołgami. Po zlikwidowaniu włoskich sił pancernych, brytyjska dywizja pancerna jak w masło uderzała na pozostałe dywizje piechoty włoskiej, likwidując je kolejno. W ciągu dwóch miesięcy armia Grazianiego przestała istnieć.

Dn. 13 czerwca 1942 r. gros brytyjskich sił pancernych, walczących od paru tygodni w rejonie między Tobrukiem a Gazalą, zostaje wciągnięte w zasadzkę, przygotowaną zresztą przez dowództwo niemieckie. Z 300 czołgów, które wyruszyły do bitwy rano, po kilku godzinach wróciło tylko 70. 230 czołgów brytyjskich zostało zniszczonych w ciągu kilku godzin, przy czym straty niemieckie równały się niemal zeru. Ta klęska była przyczyną upadku Tobruku, Matruh i cofnięcia się frontu o 700 km, niemal pod samą Aleksandrię. Przebieg wypadków był dosyć podobny do klęski Grazianiego 18 miesięcy przedtem. Nie przewaga ilości sprzętu, ale mądrzejsze czy szczęśliwsze jego użycie, było głównym elementem zwycięstwa we wspomnianych dwu fazach wojny. Zwycięstwo niemieckie nad czołgami brytyjskimi nie było przypadkiem. Na pewien czas nim, przyjechał z Rosji do Libii generał niemiecki, znany specjalista od obrony przeciwpancernej, i zastosował nową taktykę, mianowicie zwalczanie czołgów przy pomocy ruchowych zgrupowań artylerii przeciwpancernej.

Podobnie zresztą wspaniałe zwycięstwo brytyjskie z grudnia 1940 r. nie było ani przypadkiem, ani improwizacją. W Egipcie w r. 1935 powołano do życia brytyjską dywizję

pancerną, która przez pięć lat przed wojną ćwiczyła się w wojnie pustynnej. Rzekomi turyści brytyjscy jeździli po pustyni libijskiej, udając zainteresowanie motylami, w rzeczywistości poznawali szlaki pustynne szlaki dla motorów. Zacięcie sportowe Brytyjczyków ułatwiło im doprowadzenie techniki zmotoryzowanych rejdów na tyły nieprzyjacielskie do doskonałości, jaką Włochom i Niemcom pozostają nieznaną do końca. Dzięki temu już w pierwszych tygodniach wojny z Włochami zagon zmotoryzowany na tyły włoskie doprowadził do wizycji do niewoli włoskiego generała, spokojnie jadącego szosą z Bardii do Tobruku. Marsz dużej kolumny zmotoryzowanej imperialnej z Mekili do Beda Fomm, tzn. 300 km przez pustynie, bagna i góry, celem odciążenia wycofującej się szosą nadmorską armii włoskiej, zakończony powodzeniem, wywołał pełne podziwu komentarze nawet w prasie niemieckiej.

Myli się ten kto przypuszcza, że wystarczy mieć sprzęt, mieć przewagę tysięcy samolotów, czołgów, armat aby bitwę wygrać, nie doceniając niezmiernie istotnego znaczenia, jakie ma umiejętność użycia sprzętu, tak na szczeblu kierowcy wozu czy dowódcy plutonu, jak dowódcy dywizji lub armii. Niemiecki gen. Ditmar w którymś swoim komentarzu radiowym powiedział: „Dowództwo sowieckie wiele nauczyło się od chwili wybuchu wojny i jest teraz w stanie przeprowadzić wielkie ruchy dużych grupowań z godną wyróżnienia sprawnością”. Niewątpliwie nie tylko Rosjanie ale i Brytyjczycy nauczyli się wiele w czasie tej wojny w dziedzinie sztuki wojennej. Naród polski poniósł wiele strat wskutek klęski wrześniowej. Nie najmniejszą z tych strat była niemożność rozwoju polskiej sztuki wojennej w skali, w jakiej uczyniła to Rosja, Imperium Brytyjskie, czy Stany Zjednoczone.

TEN KTO NACIERAŁ PRAWIE ZAWSZE ZWYCIĘZAŁ

Jeszcze jeden wniosek, dosyć istotny, można wysnuć z przebiegu kampanii libijskich. Oto, jeszcze raz została w pełni potwierdzona teza o przewadze strony działającej zaczepnie nad stroną porzucającą obronę. Zarówno ofensywa Wavella z r. 1940 jak ofensywa Auchinclossa z r. 1941, jak kontrofensywa Rommla z r. 1942 były prowadzone przy pomocy mniejszych sił aniżeli posiadająca broniącą się strona. Brygada karpacka natarła pod Gazalą na znacznie silniejszą od siebie siłę włosko-niemieckie i rozbiła je w puch. Na przyczyn natury psychologicznej, które działają na korzyść dowództw i wojsk atakujących a na niekorzyść porzucających na obronę, nieraz zwracano uwagę w literaturze wojennej. Mam wrażenie, że kampanie libijskie wykazały, że w wojnie zmotoryzowanej, w wojnie ruchu, tempa były skawicznego, strona nacierająca ma przewagę nad broniącym się jeszcze i dla innej przyczyny. Oto, wbrew przewidywaniom niektórych strategów z epoki wojny 1914—1918 z Fochem na czele, zaskoczenie we współczesnej wojnie jest bardzo istotnym elementem. Szybkie ruchy wojsk zmotoryzowanych umożliwiają działania przez zaskoczenie nawet całym armiom. Strona atakująca może działać planowo, według opracowanych naprzód założeń, nieraz, jak np. w bitwie pod Sidi Barani, przewidzionych w czasie specjalnie w tym celu urządzanych manewrów. Strona broniąca się zaś musi działać nie według planów własnych, ale zależnie od postępnego przeciwnika, a więc zamiast działać planowo, jest zdana na improwizację, która z natury rzeczy w praktyce daje mniej wydajne wyniki użycia sprzętu i ludzi. W dziedzinie zaopatrzenia walcząca od działów w benzynę, wodę, amunicję, żywność, pomoc lekarską — przewagę miała dlatego strona nacierająca nad broniącą się. Mianowicie kwat-

mistrzostwa strony nacierającej mogły przygotować sobie plany i środki zaopatrzenia oddziałów ruszających do natarcia, znając dyspozycje taktyczne, zamierzone ruchy oddziałów. Natomiast kwaterymistrzostwa strony broniącej się, a zwłaszcza wycofującej się, musiały działać bezplanowo, improwizować.

PRZYJEMNA WOJNA

Wreszcie jeszcze jedną bardzo istotną cechą kampanii stanowiło to, że była to wojna przyjemna. Dlaczego?

Więc przede wszystkim dlatego, że była to wojna zmotoryzowana. Aldous Huxley dowodzi, że jedyną nową formą rozkoszy, jaką przyniósł dla ludzkości wiek XX, jest pęd, szybkość poruszania się. Gdy w r. 1940 po przejściu brygady karpackiej z Syrii do Palestyny, z kompanii, w której potem przyszło mi służyć, 80% szeregowych zgłosiło się na ochotnika do lotnictwa, oczywiście, zaledwie kilku uzyskało zgodę na przejście. Za to potem wszyscy, niemal bez wyjątku,

mieli zaznać tych niewyczerpanych źródeł radości, jakie daje posiadanie i używanie samochodów. Zaczęło się to, gdy baon c.k.m.-ów w lutym 1941 roku w okresie ofensywy Wavella wysłano na okupację Bardii, Solum i Fortu Capuzzo. Setki samochodów, ciągników, motocykli, czołgów, zupełnie zepsutych i prawie nowych, stało na pustyni. Gorączka motoryzacyjna ogarnęła wszystkich, i młodzieńskich strzelców, i siwych kapitanów. Każdy dłużył przy jakimś wozie, uruchamiał go, siadał i jechał, pustynia nie zna tak głupich wynalazków jak rowy i słupy przydrożne, toteż wydaje się, że jest stworzona do samochodu i pędzenia nim za gazela. Dowódcy kompanii i plutonów, spotykając się, rozmawiali niczym uczestnicy przedwojennych konkursów piękności Automobil-Clubu: „Widziałeś moją Lancię?”, „Jak ci się podoba mój dwuosobowy Fiacik?”, „Czy wiesz że mój Chevrolet wyciąga 90 na szosie?”. Taksówkarze warszaw-

scy, kierowcy zarekwirowanych we wrześniu samochodów, których szosa zaleszczycka wyrzuciła na ulice Bukaresztu, a dalsze losy skierowały do brygady, w wojsku pieszym nieraz ofensywy, naraz nabrali ogromnego znaczenia, autorytetu. Dowódcy rozrywali ich między siebie, jak poprzednio kucharzy. Pod ich doświadczonego okiem motoryzowała się młodzież, i nie tylko młodzież brygady. Im oraz podarowanemu przez Grazianiego sprzętowi i benzynie zawdzięcza brygada karpacka zmotoryzowanie. W maju t. r. cała brygada bowiem ruszyła w pustynię, do Ma'ruh, i tam kontynuowała swą motoryzację. Piętem w sierpniu nastąpiła katastrofa — przed wyruszeniem morzem do oblężonego Tobruku trzeba było oddać w Aleksandrii wszystkie samochody. Podejrziwi uważali nawet, że wysłanie do Tobruku brygady było podstępem G.H.Q. Bliskiego Wschodu, by bez bólu przejąć liczne nasze samochody i motocykle. W Tobruku

motoryzacja brygady przeżywała ciężki kryzys, w wyniku braku samochodów, ograniczeń benzyny, no i charakteru wojny pozycyjnej. Ruch wozów, dowóz żywności, materiałów budowlanych na linię — odbywał się nocą. Wtedy po raz pierwszy zapoznaliśmy się z głównym wrogiem samochodu w pustyni: minami. Aż po trzech miesiącach, po wyjściu z Tobruku i zwycięskim parciu na Gazalę, motoryzacja brygady miała przeżyć apogeu. Dywizjon przeciwpancerny zmotoryzował się sprzętem niemieckim pod Sidi Rezegh, bataliony piechoty pod Gazalą, a pułk artylerii po zdobyciu Bardii. Gdy przyszło do wznowienia działań wojennych w dwa miesiące potem, imponująca wyglądał przemarsz brygady — z tysiąc wozów waliło pustynią wśród umarłych kurzu. Takiej ilości sprzętu motorowego żadna z armii polskich w wrześniu nie miała!

Kij ma dwa końce, medal dwie strony, a wojna swoje błaski i swe nędze. Gdy ktoś z uczestników kampanii libijskiej zechce ją przedstawić w czarnych barwach, znajdzie dosyć argumentów dla swej tezy: że przez 70 dni trzeba było leżeć w płytkich, kutech w skałe rowach, mając o 400 m przed sobą wyborowych strzelców niemieckich; że przez trzy miesiące nie miało się kropli alkoholu w ustach i jedynym drinkiem była półsłona woda lub herbata o smaku karbołu; że do natarcia pod Gazalą dwa nasze bataliony szły trzy kilometry na c.k.m-y niemiecko-włoskie gładką jak stół pustynią; że niejedyn ranny został w drodze do szpitala storpedowany na morzu; że przez dziesięć miesięcy żołnierz przebywał w dziwnym świecie, gdzie nie było domów, kawiarni, kin, knajp, kobiet. Dosłownie i w przenośni spał na wozie i pod wozem. Ale z drugiej strony żołnierz, który hojnie przelewał swą krew (co piąty żołnierz brygady poległ lub odniósł ranę) — w porównaniu do r. 1920 czy Września musiał dać z siebie nieporównanie mniej potu. Samochód pracował, nie jego nogi. Żołnierz nie znał pieszych przemarszów nocnych. Odżywił się dobrze, gdy na Boże Narodzenie brygada pod Gazalą zafasowała magazyn żywnościowy Afrika-Korps Rommla.

Na końcu wymieńmy główną cechę tej kampanii, która pozwalała charakteryzować ją jako miłą dla żołnierza. Po raz pierwszy od Września, Francji, Narwiku, była to kampania zakończona zwycięstwem. O ile można powiedzieć, że wojsko pokojowe, wojsko na tyłach a wojsko na froncie to są instytucje tak różne jak: niebo i ziemia, o tyle i wojna, którą się przegrywa, a wojna w której się zwycięża, to są wojny całkiem różne, nie do siebie nie podobne. Tragizm wojny, którą się przegrywa, gdzie się trzeba cofać i cofać bez końca, gdzie państwo się rozlatuje a naród idzie w niewolę, nie potrzebuje przedstawiać, każdy Polak pamięta zbyt dobrze ponurę tygodnie Września. Ale dołyczas tylko uprzywilejowana garstka kilku tysięcy Polaków z brygady gen. Kopańskiego przeżyła te piękne, upojne chwile, gdy bataliony piechoty niemieckiej uciekały pod Sidi Rezegh, dziesiątkowane ogniem naszym i brytyjskich czołgów, gdy braliśmy nieprzyjaciół setkami, do niewoli, gdy dumni, z „Eseme-Kreuz” na piersiach, majorzy niemieccy musieli broń swą zdawać polskim żołnierzom, „turytom Sikorskiego”, jak pogardliwie zwykli nas nazywać komunikaty kwatery Rommla. Tak, my pogłobowcy Września w pustyni libijskiej, brudni, pokryci kurzem, śmierzdząc benzyną, pijani zwycięstwem, czuliśmy wtedy wszystkim zmysłami przedsmak tego dnia, gdy na karkach uciekających w popłochu okupantów, będziemy wjeżdżali w tempie dziesiątków kilometrów na godzinę na ziemię między Karpatami a Bałtykiem.

Mieczysław Pruszyński

Tomasz Burzecki

TAK NIE BYŁO

„Tak było”*) to tytuł zobowiązujący. Trzeba pod nim pisać tylko prawdę A jak to zrobił p. Wołowski? Utwór jego (bo nie jest to całość jednolita, choć od początku do końca płacze się na kartach tej książki poślad Zygmunta) był poprzednio drukowany w „Życiu Warszawy”. To trzeba zanotować, by wyjaśnić np. rebus na str. 110. Mamy tam napis tłustym drukiem: „Wawer 27.12.1939” ale o samym Wawrze — ani słowa Sam autor, czy wydawca wyrzucił z książki „dokumentarny” opis wawerskiej masakry, zamieszczony w „Życiu Warszawy” w odcinku 301ym. Oto tak było:

„Podobno w restauracji napadnięto żołnierzy niemieckich i to spowodowało odwet. Na ogół wyrażano opinię, iż represje nie nastąpiły bez poważnej przyczyny. Po mojemu — perorował jakiś chłop — wojsko jest wojsko. Żołnierze ujęli się za napadniętymi kamratami. Może jeszcze mieli w głowie, bo to święta. No i doszło do nieszczęścia”. I dalej: „...mordowanie ludzi bez powodu wydawało się absurdem”. A rozmiar zbrodni niemieckiej? „W trzeci dzień świąt Niemcy rozstrzelali tam kilkadziesiąt osób, a restauratora powiesili we drzwiach własnej restauracji”. (podkr. moje).

Oto reporterska dokładność i dokumentarne świadectwo! Wprawdzie nie był to odruchowy odwet podchmielonych żołnierzy tylko zbrodnia świadoma z komedią sądu i stracono nie kilkadziesiąt tylko ponad 120 osób; wprawdzie NTN nie uznał tego za absurd, tylko za zbrodnię i skazał za to Daumego, ale to pewnie dlatego, że nasi prokuratorzy nie znali dokumentarnego świadectwa p. Wołowskiego.

Obok Wawra — Oświęcim. Nasza (szaptała!) propaganda zrobiła z nie-

*) Jacek Wołowski: „Tak było” Czytelnik — Warszawa, 1947.

go obóz zagłady, a był to tylko obóz pracy (str. 108). Taka tendencyjność, może nieświadoma, ale konsekwentna, jest w całej książce. We wrześniu 1939 r. żaden nasz wysiłek zbrojny nie był skuteczny; nawet zwycięski myśliwiec polski ginie razem z zestrzelonym przez siebie Niemcem. (A pamiętam, że taki np. pilot Palusiński nie zginął w powietrznej walce, choć trafiał niemieckie samoloty). Prócz tego p. Wołowski nie rozumie, że za dużo młodzieży ginęło w partyzancie i dywersji.

Dla niego Polacy podczas okupacji to kolaboranci (str. 95) i szuje, którzy jako „niektórzy tłoczyli się w urzędach niemieckich” (str. 99) oraz denuncjatorzy i konfidenci (str. 156—157). Nawet organizacja wojskowa nie była wolna od szubrawców: byli przeciw podziemne plutony egzekucyjne (str. 183) i nie była to wcale konspiracja, skoro „ludzie nie należący do organizacji wojskowej zasypywali żołnierzy AK wyrzutami” (str. 184). Wskutek tego konfidenci mieli ułatwione zadanie. W Komendzie Głównej AK też byli głupcy, skoro jakimś łazikowi w rodzaju Zygmunta udzielano informacji, kiedy wybuchnie powstanie (str. 185—186). Obok tego granda finansowa: za bohaterką służbę podziemną płacono pięćsetkami, gdy nie były już w obiegu (str. 188). Zamiast Delegata Rządu RP na Kraj p. Wołowski powołał Delegata jakiejś Rzplitej (str. 189). Podczas powstania Zygmunta płacze się (jak i przedtem) po ulicach, na których jest „ostrzał”, chyba po to, by zbierać materiał do dokumentarnych świadectw w rodzaju Wawra.

Oto tak było według p. Wołowskiego. Rzecz napisana przy tym nieudolnie. Brak perspektywy. Po dłużnych o sprawach błahych, bez których książka mogła by się obejść, — nagle przeskoki nad wydarzenia-

mi ważnymi. Jak filozof snujący wnioski „post hoc” — autor „przepowiada” często wojnę Niemiec z Rosją O latach 1942 — 1944 (do powstania) zaledwie kilka zdań, choć lata te były dla stolicy brzemiennejsze w wydarzenia od poprzednich. A wśród tych paru zdań nieprzemysłany wyskok o plutonach egzekucyjnych AK.

Gdyby tak było naprawdę, jak to p. Wołowski przedstawił, byłibyśmy godni pogardy. Poza kilku ładnymi fragmentami nie powinno się tego pamiętnika drukować, a tym bardziej wydawać. Książka jest szkodliwa.

Trzeba to tym mocniej podkreślić, ponieważ nie tylko koleżeńskie recenzje są dla p. Wołowskiego pochlebne, ale nawet tak znakomity pisarz jak p. Żukrowski ocenił „Tak było” dodatnio. Szkoda tylko, że szanowny recenzent dostrzegł w książce to, czego nie ma, a nie zwrócił dostatecznej uwagi na to, co jest. U p. Żukrowskiego p. Wołowski pisze wstęp jako „przeciętny żołnierz AK” — w książce autor do AK wcale się nie przyniósł. Recenzent widzi w „Tak było” „dokumentarną syntezę” i „dzieje całej okupacji”, lecz jak to twierdzenie godzi z kilku zdaniem o latach 1942 — 44, z plutonami egzekucyjnymi AK, z Delegatem Rzplitej, bezmyślnością Komendy Głównej AK (o czym wyżej) — to już jego tajemnica. P. Żukrowski przedstawia „Tak było” publikacjom Pytlakowskiego i Brandysa. Tego nie powinno się robić. P. Wołowski wypaczył i przeinaczył prawdę i dlatego przed jego książką, podobnie jak i przed utworami wyżej wymienionych, należy zupełnie wyraźnie ostrzeżać.

Nazwanie Oświęcimia obozem pracy jest obelgą dla milionów ofiar tej potwornej maszyny śmierci. Przeciw temu trzeba wyraźnie wystąpić.

Tomasz Burzecki

Kuria Administracji Apostolskiej
w Gorzowie Wlkp.

Otwarcie Małego Seminarium Duchownego w Słupsku

Z dniem 1 września b. r. otwiera się w Słupsku Małe Seminarium Duchowne. Młodzieńcy pragnący poświęcić się służbie Bożej jako kapłani świeccy na terenie Pomorza Zachodniego i Ziemi Lubuskiej mogą nadsyłać podania o przyjęcie do Kurii Admini-

stracji Apotostolskiej w Gorzowie, ul. Łokietka 16.

Przyjmuje się chłopców z ukończoną przynajmniej siódmą klasą szkoły powszechnej lub jakąkolwiek klasą gimnazjalną albo licealną.

Do zgłoszenia należy dołączyć:

- 1) dokładny życiorys,
- 2) ostatnie świadectwo szkolne,
- 3) świadectwo moralności od ks. proboszcza,
- 4) świadectwo lekarskie,
- 5) 2 fotografie.

Tydzień kulturalny

NAGRODA „ODRODZENIA”

22 lipca została przyznana do-
roczna nagroda tygodnika
„Odrodzenie” w kwocie zł. 250 tys.
zł. Otrzymał ją Jarosław Iwaszkiewicz
za dwa tomy nowel „Nowa mi-
łość” i „Nowele włoskie” (dotych-
czas niewydane). Poza tym wyróż-
nieni zostali Gołubiew za „Chrobre-
go”, Malewska za „Żniwo na sierpie”,
Pruszyński za „Trzyście powieści”,
Buczowski za „Wertepe”. Jury
nagrody stanowili: Pigoń, Parandow-
ski, Dąbrowska, Kowalska, Kubacki,
Kruczkowski, Kuryluk.

Tegoż dnia odbył się w „Czytel-
niku” podwieczorek dla uczczenia
elekta, Przemawiali: Pigoń (majesta-
tycznie), Kubacki (z grandilocwencją;
przywalił Iwaszkiewicza „workiem
złota!!!”), Dąbrowska (czule), Pa-
randowski (marząco i serdecznie),
Ereza (z finezją i dowcipem). Odpo-
wiedział im spocyny ze wzruszenia
Iwaszkiewicz. W podwieczorku bra-
li udział: Rusinak, Żółkiewski, Hertz,
Gołubiew, Dobraczyński, Bartelski,
Ostromięcki, Wład. Bieńkowski, Brat-
ny i inni. Podwieczorek zakończył
się ciekawą dyskusją na temat fe-
stiwalu szekspirowskiego.

Wnioski? Tegoroczny wybór nie
budzi żadnych zastrzeżeń. Jest cał-
kowicie słuszny. Cieszyłobyśmy się
wprawdzie, gdyby nagrodę dostał Go-
lubiew za swoją książkę, która jest
zdaniem naszym najlepszą pozycją
prozy polskiej w okresie powojen-
nym, tym nie mniej przyznajemy, że
pozycja Iwaszkiewicza w literaturze
polskiej predysponuje go bezwzględ-
nie do nagrody za ogólną działalność
artystyczną. Po wtóre: nagroda „Od-
rodzenia” urosła do znaczenia repre-

zentacyjnej nagrody literackiej w
Polsce. Nie jest już jak to było w
roku ubiegłym, formą „dasowania”
nagrodzonego na artystę, ale nagrodą
rzeczywistą, nagrodą dla pisarza naj-
lepszego, nagrodą zastępującą wielką
nagrodę państwową, zanim taka zo-
stanie ufundowana. Po trzecie: Czas
najwyższy aby powstała doroczna na-
groda dla pisarza katolickiego. Trzy
czwarte literatury współczesnej w
dziedzinie prozy i z góry połowa w
dziedzinie poezji obejmuje twórczość
katolików. Nawet wśród kandydatów
na nagrodę „Odrodzenia” większość
stanowią katolicy (Żukrowski, Gołu-
biew, Malewska, Pruszyński). Biorąc
pod uwagę ciężkie położenie pisarzy
w ogóle z jednej strony, niebawo
wprost rozwój literatury katolickiej
z drugiej sądzimy, iż taka nagroda
stała by się ważnym czynnikiem roz-
woju kulturalnego kraju.

Tylko, że jak należy przypuszczać,
nie ufunduje jej „Czytelnik”...

„SIEDEM KOTÓW” W WARSZAWIE

Nareszcie więc Warszawa miała
okazję zobaczenia występów
krakowskiego zespołu rewiewego
„Siedem Kotów”, reklamowanego na
całą Polskę przez „Przekrój”. Może
i warto poświęcić kilka godzin i kil-
kaset złotych na obejrzenie widowis-
ka „Siedem Grzechów Głównych”.
Zespół jest na zupełnie dobrym po-
ziomie i nawet młode i niewyrobione
siły aktorskie spisują się zupełnie
nieźle. Na pierwszym miejscu nale-
ży tu oczywiście wymienić p. Miko-
łajewską.

Jeśli zaś chodzi natomiast o uzna-

nie już „gwiazdy” to dobrą swą opi-
nie potwierdzają całkowicie Irena
Kwiatkowska i Tadeusz Olsza. P.
Kwiatkowska gra doskonale, z dużym
uznaniem, („Hermenegilda”, „Sierot-
ka”), niepotrzebnie tylko chwilami
(szczęściem rzadko) wpada w styl
Stefci Górskiej. W każdym razie
szczęśliwie unika na ogół akcentów
wulgarnych.

Zresztą, co trzeba zapisać na plus
kierownictwu teatryku t. zw. „pie-
przyków” spotyka się tylko kilka i to
względnie stosowanych.

Interpretacja piosenki do słów Ga-
czyńskiego przez p. Grabińską pozos-
tawia dużo do życzenia; wykonaw-
czyni ma zbyt mało swobody i, zda-
je się słuch trochę kiepski.

Najslabiej wypadła część widowis-
ka, zatytułowana „Historia Świata”.
Kilka scen raczej nudnych, zabarwio-
nych często płaskim dowcipem (za-
łączenie Rzymu) a czasami wręcz bez-
nadziejnych (walki o inwestyturę).

Konferansjerkę prowadził z dużym
talentem p. Rudzki, jeden z niezlic-
zonych w tej chwili w Polsce, napraw-
de kulturalnych konferansjerów.

W sumie krakowski zespół spra-
wił nam jednak pewien zawód. Spo-
dziewaliśmy się poszukiwania nowych
dróg w przedstawieniu rewiewym,
jakieś odmiennej od dotychczas-
owych koncepcji artystycznej. Obec-
ność Gałczyńskiego w zespole, czy-
niała te nadzieje realnymi. Tych na-
dziei jednak zespół „7 kotów” nie
spełnia. A może jeszcze spełni?.....

LITERATURA W KAWIARNI

Stanisław Ryszard major w rezer-
wie Dobrowolski bardzo się ostat-
nio zdenerwował, pisząc o pisarzach,

którzy przegadują czas w kawiar-
niach, co sprawia, że „stawiają wyżej
mokkę niż Okę” itd. P. S. R. Dobro-
wolski posiada czarujący dar mówie-
nia rzeczy jak najszlachetniejszych to-
nem takim, jakby to on je wymyślił.
Bo poza tym sprawa jest rzeczywi-
ście więcej niż słuszna i jeżeli z czego
można pokpić to chyba tylko z tego,
że p. major w rezerwie rzuca
zdecydowanie kamyczek do własnego
ogródka, bo kogo jak kogo ale wła-
śnie redaktorów i współpracowników
„Nowin Literackich” można najczę-
ściej spotkać w kawiarni. (P. major
rez. nie!). W „Canaletto” np. nurza
się dość często mistrz Iwaszkiewicz.
No, a beniaminek „Nowin” p. Min-
kiewicz, którego autoklamiarskie
wypociny drukują z zapalem godnym
lepszej sprawy „Nowiny”, jest chy-
ba symbolem polskiej literatury
knajniarskiej.

Tym słuszniejszy głos p. Dobrowo-
lskiego. Sprawa jest — odstawwszy
kpinę na bok — całkiem poważna.
Nie chodzi ostatecznie o to, że ludzie
spotykają się po cukierniach. Gdzieś
się bowiem mają spotykać, gdy pry-
watne mieszkania literatów warszaw-
skich mieszczą się na księżycu, a tam
jeszcze nie dojeżdżają francuskie
autobusy. Natomiast sprawą poważ-
ną jest p o c o się spotykają.

Żeby porozmawiać na inteligentne te-
maty? Breń Boże! Po to aby się
naplotkować, namleć jęzorem, obro-
bić tego i tamtego, wycinować go
na sto dwa, dowieść ze się sprzedał,
że go kupili, że się podlizuje, że ma
takie albo owakie dochody, że pisze
swe utwory w ramionach kochanek,
albo że ich nie ma, nie może mieć —
słowem jedno wielkie bajoro męskiej

plotki. Nie rozmawia się u nas na
poważne tematy. Plecie się, wygłu-
pia, stwarza przekonanie, że litera-
tom wiedzie się świetnie skoro mo-
gą godzinami młócić ozorem o byle
czym. (Jako rezultat jest taka auten-
tyczna rozmowa pewnego literata z
przedstawicielem Urzędu Skarbowe-
go: „Z czego pan żyje?” „Z pi-
sania książek”. „Dobrze, dobrze, to
wiemy. Ale z czego pan żyje”. „Z
pisania książek”. „Bez żartów! Co
pan r o b i? Gdzie pan p r a -
c u j e?” „Jestem jednym z redak-
torów „Dziś i Jutro””. „A ile pan
tam zarabia?” „Nic”. „Nic? To z
czego pan żyje?”).

Gdybyż to zresztą tylko taki był
mienia tego kawopicia i językiemle-
nia skutek! Ale proszę popatrzeć na
literatów, którzy chcą się dobić po-
zycji w literaturze. Pracują? O ty-
le o ile. Ale przede wszystkim prze-
siadują po cukierniach. Cóż bowiem
z tego, że pan X napisze tom poezji,
jeżeli nikt go nie omówi, póki się re-
cenzji nie „ubije” w kawiarni. Cóż
z tego, że ktoś wyda powieść, jeśli
żaden krytyk nie weźmie jej do ręki,
póki się go o to nie uprosi na pół
czarną. O trylogii Grabskiego mało
kto napisał, bo Grabski zamiast na
kawie siedzi na słonku w Gołąbkach.

Książki Rembeka nikt nie spostrzeżył
bo Rembek tkwi w swoim Milanów-
ku i nie wypija litra mokki tygodnio-
wo w „Kopciuszku”. O „Chrobrym”
Gołubiewa już wszyscy wiedzą, że
to świetna książka, tylko nikt nie
miał czasu doczytać jej do końca, bo
Gołubiew woli swoje trzy pociechy,
niż towarzystwo trzech plotących lite-
ratów w ogródku na Krupniczej. W
literaturze w Polsce liczą się tylko
ci, którzy piją kawę.

Niech Pan na to wpłynię, Fanie ma-
jorze (w rezerwie), aby tak nie było,
a chętnie Pana poprzemy.

SZEKSPIR W WARSZAWIE

Pierwszym przedstawieniem gra-
nym w finale konkursu szekspirow-
skiego w Teatrze Polski był „Hamlet”
w tłumaczeniu J. Iwaszkiewicza. Od
tego przekładu wartoby rozpocząć
omówienie widowiska. Przekład jest
dobry, jasny, jędrny i ciekawy. Nie
wnosi żadnych zbyt daleko idących
„unowocześnień”, ale dostosowuje
się do tradycji języka i teatru szek-
spirowskiego. Na to ostatnie chciał-
bym zwrócić szczególną uwagę, dla
„Hamleta” bowiem nie jest rzeczą
obojętą jakim językiem mówią je-
go bohaterowie. Jeżeli świat bohater-
ów Szekspira jest światem „wiecz-
nego” człowieczeństwa, to świat bo-
haterów „Hamleta” ma szczególną
właściwość aktualizowania swego ob-
licza w każdej epoce. Niewątpliwie
mowywymi najistotniejszymi sztuki w
okresie jej powstawania była „okrop-
ność” zbrodni króla. Z czasem zbro-
dnia przesuwa się na plan dalszy, na
czoło natomiast zagadnień tragedii
wysuwa się postać samego Hamleta.
Już nie chodzi o to, co Hamlet ma
móciś, ale o to, w jaki sposób za-
biera się do swej misji. Czy jest czło-
wiekiem niezdolnym do dzwignięcia
ciężaru „zemsty rodowej” — czy też
jest kimś, kto przytają się tylko, gar-
bi — by właśnie tym skuteczniej do-
konać zadania. Czy udaje tylko szale-
ństwo — czy też szaleństwo jest
jego cechą istotną, ukazującą się raz
silniej, raz znowu słabiej w psychice
bohatera. Czy autor chciał wyidealiz-
ować Hamleta, czy może właśnie je-
go nieodpowiedzialność uplastyczniać.

Teatr 19-go wieku siedział raczej po
linii robienia z Hamleta bohatera.
Romantyzm narzucał swój charakter
królewiczowi duńskiemu. Nie pamię-
tało się, że Hamlet jest męczennym
małego wzrostu, prawie otyłym, po-
cącym się łatwo przy fechtunku, ma-
jącym krótki oddech. Hamlet urastał
na bohatera, łamiącego się z własną
słabością i wreszcie osiagającego zwy-
cięstwo. Teatr 20-go wieku wyznawał
począł pogląd odmienny. Hamlet jest
marzycielem, melancholikiem, słabusz-
kiem, który nie jest w ogóle zdolny
do czynu, trochę kabotynem, trochę
deklamatorem, idealistą, który się je-
dnak przytają, Celtem, którego nie
stać na walkę ze zdobywczym ge-
niuszem Anglo-Saksonów, wielbicie-
lem najczystszej sprawiedliwości, ale
nie umiejącym bronić własnej pozyc-
ji, utopistą, fantasta, anty-Machiavel-
lem, etycznym don Kiszotem...

Ostatnio i to stanowisko zostało
podważone. Widziałem w Paryżu w
teatrze Marigny „Hamleta” w prze-
kładzie Gide’a, w wykonaniu słyn-
nego Jean-Louis Barrault. Jest to pró-
ba przedstawienia człowieka oszala-
łego w zetknięciu z belitosnym ży-
ciem. „Hamlet” Barraulta szaleje
wcześniej, zanim to szaleństwo ma
być pokryciem jego zamierzeń, szale-
je od pierwszej sceny. Przekład
Gide’a, upraszczający język Szekspira,
miejscami prawie zupełnie wolny,
ułatwia taką właśnie interpretację
(mamy tu do czynienia z imponującą
współpracą tłumacza oraz wykonaw-
cy; już w maju 1942 — jak to Gide
notuje w swoim dzienniku, Barrault
omawiał z nim nową interpretację
„Hamleta”; tam także pisze Gide, że
Barrault „związany jest blisko z Sar-
trem więzami żywiołowej sympatii”).
Czuć tu mocny wpływ egzystencja-
lizmu: życie jest beznadziejną otchła-
nią, z której nie ma wyjścia. Czło-
wiek próżno się broni przed zato-
pieniem. Przeżywają tylko ci, któ-
rzy umieją się „dostosować do okrop-
ności”. Hamlet przeżyć nie może —
ale musi protestować szaleństwem.
Dlatego w sztuce — u Barrault —
odchodzi na plan dalszy para kró-
lewska, duch — problem zabójstwa
i wiarołomstwa — na pierwszy wysu-
wa się analiza szaleństw Hamleta
i jego właściwi antagoniści: Poloniusz
oraz tragiczni w swym szablonie Ro-
senkrantz i Gildenstein.

Istotny konflikt u Barrault, to
Hamlet, który nie potrafi żyć w świe-
cie „który wyszedł z orbit” i Polo-
niusz — właśnie dla którego świat
najbardziej nawet krwawy jest światem
bliskim. W tym konflikcie pierw-
szą ofiarą jest Ofelia.

Teatr Polski poszedł zasadniczo po
linii tradycyjnej interpretacji „Ham-
leta” wg ujęć 20-go wieku. Konflik-
tem zasadniczym jest tutaj nie prze-
ciwstawność postaw Hamleta i Polo-
niusza, ale Hamleta i Fortynbrasa.
Słaby, niezdolny do czynu Hamlet,
żałosny idealista i marzyciel o wiel-
kich czynach, który się całkowicie
wyładowuje w marzeniach, nie może
dorównać wojownikowi Norwega-
wi. Tamten wie czego chce i zdo-
bywa to, co chce. Hamlet nic nie
osiąga. Nawet nakazane mu przez
ducha zabójstwo króla dokonuje wła-
ściwie siłą biernego rozpadu i tragi-
cznej świadomości, że umrze, ni-

wykonawszy powierzonego mu zada-
nia.

Taka, zdaje się, była koncepcja
tłumacza i reżysera. Wygrana została
każda scena z Fortynbrasem kosz-
tem nawet odsunięcia w cień Polo-
niusza. Zresztą trzeba przyznać, że
Teatr Polski obszedł się z arcydzie-
łem Szekspira z o wiele większym
piętyzmem, niż to zrobił teatr fran-
cuski: zachowując swój charakter ca-
łości, nie wyrzekł się odegrania wie-
lu fragmentów pobocznych, które w
teatrze Marigny w ogóle odpadły.

Być może chodził tu jeszcze o je-
dno: sceny z Fortynbrasem są równo-
cześnie scenami, w których mówi się
dużo o Polsce. Słusznie wrócił na
to kiedyś uwagę Nowaczyński, iż
„Hamlet” jest najbardziej „polską”
ze sztuk Szekspira. Polska zresztą w
sensie niekorzystnym. Okres powsta-
nia „Hamleta” był okresem ostrych
konfliktów pomiędzy katolicką Rzecz-
pospolitą a schizmą Anglii. Konflikt
ten zarysował się na tere-
nie walki Anglii z Hanza, którą zno-
wu bronili Polacy. Opinia, jaka miał
Anglicy o Polakach, kształtowała się
na podłożu niechęci; rozogniła ją je-
szcze emigracja polska — rozmaitci
polscy inowiercy — jak Łaski — któ-
rzy się schronili nad Tamizę i stam-
tąd judzili przeciwko własnej ojczy-
nie.

Szekspir niewiele wiedział o Pol-
sce, zaś Polaków znał tylko od
strony emigracji. Na tym podłożu
powstał — bez wątpienia — Polo-
niusz, który w pierwotnej edycji no-
sił imię Corambisa. „Poloniusz — pi-
sie Nowaczyński — to prototyp i
pradziad wszystkich ugodowców,
Poloniusz to „Kraków Polityczny”, Kra-
ków Stańczyków i NKN z czasów
wojny europejskiej. Ugodowość jest
tak generalną dominantą wszelkiej
jego taktyki, wszelkich jego metod i
recept życiowych, gestów i zwrotów,
że ten statesman, który ma być pod-
porą tronu i dynastii raczej sprawia
wrażenie jakiegoś automatu, powta-
rzającego monotonnie banały i tru-
fizmy, przydatne chyba na folwarku
esquira z prowincji, ale nie na dwor-
ze królewskim...”

Wynikałoby z tego, że Polakami
— w typie — są Poloniusz, Ofelia i
Laertes. I to nie jest wcale nie prze-
przekonywujące. Jest jeszcze jedno
miejsce, w którym przez usta Ham-
leta przemawia polonofobia Szekspi-

ra. Hamlet woła do Laertesu na
komentarzu: „Wooł drink up Weissel?
cat a crocodile”. Iwaszkiewicz tu-
maczy tak jak Paszkowski:
„Dać się rozedrzyć? rzekę wypić
do dni?”

Jeśli krokodyl?...

A ta rzeka to przecież — Wisła.
Rola Hamleta zagrał Marian Wy-
rzykowski. Jest to czwarty aktor
polski, którego w tej roli widziałem
(po Brydzińskim, Adwentowiczu i
Węgierce) i wydaje mi się, że za-
grał ją bardzo inteligentnie, ale nie-
słychnie mało konsekwentnie. Miał
sceny bardzo dobre i sceny bardzo
złe. Był słaby w scenie początkowej
i w scenach z duchem — dobry w
monologu, bardzo dobry w scenie z
aktorami. Jednolitej postaci nie stwo-
rzył i sądzę, że stworzyć nie mógł,
ponieważ nie wydaje mi się, aby rola
„Hamleta” była dla niego odpowe-
dnia. Zresztą — kto wie — gdyby
zechciał zrezygnować właśnie z ak-
centów bohaterko-romantycznych a
spróbował jeszcze bardziej podkreślić
słabość bohatera, może dałby rzecz
ciekawą. Tym niemniej poszedł dobrą
drogą — czego nie mogę powiedzieć
o Barrault, którego interpretacja była
bajecznie konsekwentna, ale wła-
ściwie w swym ujęciu nie do przy-
jęcia.

Świetnym królem był Butkiewicz,
świetnym Poloniuszem — Buczyński.
Z podziwem należy patrzeć na coraz
bardziej pogłębiający się talent tra-
giczny Barszczyewskiej. Jej Ofelia
przewyższała o niebo Ofelię z teatru
Marigny, choć może mogła sobie po-
zwolić — na co aż do przesady po-
zwoliła sobie francuska aktorka —
na wydobywanie akcentów mimicznych
z roli. Laertes Mileckiego był na po-
ziomie, ani w postawie nie z wojowni-
czego konkwiadatora. Panciewicz-Le-
szczyńska zagrała rolę królowej, jak
się zdaje, bez wielkiego przejęcia.

Reżyseria inteligentna, miejscami
świetna. Wystawa — imponująca.
Dekoracje Frycza były prawdziwym
wytchnieniem po żalonych dekora-
cjach w teatrze Marigny.

Jeżeli jednak wspaniała, a na na-
sze powojenne warunki po prostu im-
ponująca oprawa „Hamleta” nie za-
wiera jednak żadnego elementu oryginalności, o tyle wystawienie kome-

dii Szekspira „Wiele hałasu o nic”
w Teatrze Małym może być wzorem
tego, co inteligentny reżyser (tutaj
Z. Sawan) zdolny jest stworzyć pry-
mitywnymi i niekosztownymi środka-
mi. W sztuce znikły w ogóle tak nu-
żące i rwące akcje sceny. Na fanta-
stycznym krąganku pałacowym ukaza-
no nam całość akcji, wiążąc ją tam,
gdzie u Szekspira s dłuższe luki, mi-
micznymi lub śpiewnymi stawkami.

Komedii „Wiele hałasu o nic” na-
leży do charakterystycznych komedii
Szekspira: duże napięcie komediowe
obok momentów dramatycznych, nie-
zrównana, przemiana gra słów, ani na
chwilę nie zamierzające tempo akcji,
wyrazistość charakterów — wpada-
jących zresztą niejednokrotnie w gro-
teskę. Rzecz szczególna: komedie
Szekspira nie wyprowadzają nas po-
za krąg zwyczajnych, możnaby po-
wiedzieć prymitywnych charakterów.
Jeśli w tragedii — choćby właśnie w
„Hamlecie” — zarysowuje się pro-
blem człowieka, w komedii nigdy nie
ma problemu. A przecież, mimo to,
a może właśnie dlatego, komedie
Szekspira nie starzeją się.

Reżyser słusznie wysunął na plan
pierwszy nie perypetie miłości Hero
i Klaudia, ale zabawna „wmówiona”
miłość Beatrycze i Benedykta. Ta
para wzajemnie drwiących z siebie
ludzi, a potem rzucających się sobie
w objęcia — nie jest wcale czymś
czego się w życiu nie spotyka.

Benedykta grał z temperamentem
A. Zabczyński. Z przyjemnością pa-
trzy się na tego artystę, tak dawno
nie widzianego. Sekundowała mu Li-
dia Wysocka — doskonała była w I
i II akcie, słabsza nieco w III-cim.
Parę właściwych kochanków grali
Anusiakówna i Pawlikowski. Rola
Hero jest rolą młodą, więc też nie-
wiele miała w niej Anusiakówna do
powiedzenia. Pawlikowski (aktor,
poeta, publicysta, do niedawna członek
RAF w jednej osobie) zwrócić
powinien na siebie uwagę reżyserów
szczęrością zagrania, zwłaszcza w
części dramatycznej. Jest to niewat-
pliwie talent. Spośród reszty zespołu
wyróżnili się Dziewoński, Janecki,
Michałowski, Osto-Suski.

Zupełnie groteskowa wstawka są
postacie Ciorki, Kwaska i strażników.
Zespół ten gra dobrze, wywołując na
sali wybuchy gwałtownego śmiechu.
Zwłaszcza interesujący jest E. Fert-
ner (czyżby syn Antoniego).

Kazimierz Kłof

Noc Zadusznna roku 1944

NOWY ROZKAZ

Siedziałem za łączniczką w milczeniu. Przed oczyma stanęły mi początki mej pracy w organizacji. Rok 1940. Chodziłem wtedy na pierwsze kursy walki. Na poddaszach starego Powiśla, czy w piwnicach Czerniakowa zbieraliśmy się po pięciu, siedmiu, przychodził do nas instruktor — porucznik artylerii. Z biciem serca i z pobożnym skupieniem słuchaliśmy wykładów z terenoznawstwa czy minierki. Potem następowały ćwiczenia ze stołem plastycznym, trójkąt błędów, czy początki musztry. Wreszcie pierwsza wyprawa do lasu... Później zadania z sabotażu — malowanie kredą płotów na znak, że Polska żyje i walczy. Znow kurs, tym razem wywiadu, a potem stała dzień w dzień obserwacja budynków zajmowanych przez Niemców. Zaczęliśmy się wtedy dobrze orientować w życiu kwater niemieckich. Potem „Agrikola”, „Urus 1 i 2” (kryptonimy kursów wojskowych) praca kulturalno-oświatowa, matura, języki obce. Twarze kolegów strudzone lecz wesole. Szczegółowe wspomnienie pracy i walki. I taki miałby być koniec? Milcząc przybitą ruiną Warszawy i kłęską jej walki.

— To tu — szepnęła mi łączniczka — a niech pan nie zapomni zameldować się przepisowo. Nasz major nawet tu wymaga zachowania form.

Wszedłem machinalnie sprawdzając czy guziki mego zniszczonego ubrania są zapięte. W pokoju skromnie umeblowanym znalazłem kilka osób, przeważnie mężczyzn. Pewno z Warszawy — pomyślałem — wskazywała zresztą na to fantastycznie skompletowana garderoba i wysnuwane ponure twarze. Łączniczka zniknęła za kotarą oddzielającą pokoje. Po chwili wyszła i zawałała mnie.

Jeszcze raz sprawdziłem guziki, powód wielu utyskiwań, i wszedłem do pokoju.

— Dowódcę! Podchorąży Z. ze zgrupowania W. melduje się posłusznie na rozkaz! — raportowałem jednym tonem, trzaskając przepisowo obcasami.

Zmizerowane oczy majora odwróciły się od okna i spoczęły na mnie. — Dziękuję! spocznij! — wyrwało mi z piersi jak westchnienie.

Podszedł ku mnie i dopiero teraz mogłem mu się bliżej przypatrzeć. Słyszałem o nim dużo od kolegów o pracowali bezpośrednio pod jego dowództwem. Major R. uchodził zawsze za pełnego energii i humoru dowódcę. Tymczasem zobaczyłem człowieka złamanego, odepiałego, z licznymi zmarszczkami na twarzy. Ile lat ma? Nie wiem. Wyglądał na 65.

Milczenie trwało chwilę. Przerwał je major.

— Postaracie się dostać do Warszawy, w rejon Starówki i Krakowskiego Przedmieścia. Macie tu wykaz skrytek. Sprawdzić je. Ocalałe zniszczyć. W Warszawie miejcie uszy i oczy otwarte. Nie wiemy co robią Niemcy w rejonach nie objętych powstaniem ani nad Wisłą. Zrozumiano?

— Rozkaz. Ale... — próbowałem oponować, zaskoczony trudnością zadania.

— Nie ma żadnego ale — padła oschła odpowiedź.

— Może jednak jakieś wskazówki, ułatwienia czy informacje. Pan major rozumie, że to zadanie przerasta siły człowieka...

Twarz majora złagodniała.

— Tak, przynajmniej — odparł — zadanie jest ciężkie. Nikt z moich współ-

pracowników nie chce iść. Sam iść nie mogę, mam tu inne polecenia. Musicie więc wy iść. Jak? Nie wiem. Nic nie wiem. Wiem tylko, że walka trwa jeszcze. Rozbito nas. Jedna kłeska nie decyduje jeszcze o kampanii. Musicie zniszczyć te skrytki, od nich zależy nasze bezpieczeństwo i dalsza walka. Najważniejsza skrytka jest przy ul. K. Niemcy tam byli od początku powstania. Ją zniszczycie przede wszystkim... Zgłoszycie się do kapitana H. może on wam ułatwi, czy udzieli wskazówek.

— Rozkaz! powtórzyłem machinalnie. Chciałem odejść.

Major spoglądał na mnie, nagle położył mi ręce swe na ramiona, w oczach zamigotały mu łzy...

— Podchorąży! Niech was Bóg ma w swej...

Oderwał ręce ode mnie, odwrócił się do okna.

— Możecie odmaszerować! Wyszedłem z chaosem w głowie...

NOC ZADUSZNA W WARSZAWIE

Cała przyroda, żywa i martwa, szykowały się w napięciu na przyjęcie tej nocy. Ciężkie sino-szare chmury przewalały się kłębami po niebie, wlokąc za sobą smutek i trwogę. Ciężkimi łzami deszczu dudniły o bruk...

Cisza grobowa wymarłego miasta zrzadka przerywana suchym strzałem z karabinu, czy krótką serią z peemu dzwoniła w uszach. Ciemność, rozdzierana zielonawym światłem rakiet błyskających raz po raz nad Wisłą, potęgowała grozę. Tylko nad Marszałkowską czy Złotą jaśniała czerwono-bura łuna pożaru, jedyny ślad bytności człowieka a zarazem ostatnie drgawki i męki miasta-oblężyma. To oprawcy z „Räumungs Kommando” mszczący się nad niewinnym miastem, za wojnę, którą przegrali, gospodarowali, grabiąc i niszcząc wszystko.

W okolicach Bristolu, będącego kwaterą załogi Warszawy, jednostki „Pi. Bat. Mot. 627”, dzieło zniszczenia było już dokonane. Ruiny hotelu Europejskiego i szkielety domów Krakowskiego Przedmieścia świeciły białymi ranami w błyskach rakiet. A pokazując obnażone zębra nośnych konstrukcji biadały nad sobą.

Powoli nastrój miasta udzielił się ludziom. Szeregowi jednostki „627”, acz w mundurach i chełmach hitlerowskiego majędźcy, dalecy byli od materialistycznej ideologii „führera”. Alzacczyki przeważnie. Wcieleni późno do niemieckiego państwa nie zdążyli poddać się duchowi pruskiego drillu koszarowego czy hitlerowskiego neopogaństwa, zastępującego ideały ducha i miłości ideałem uwielbienia dla siły i wielkości „führera”. Wychowani w skupiskach ludowych wierzyli, że dziś w tę noc Zaduszną dusze udręczonych i pomordowanych bez pochowku, gromadzić się będą w miejscach swej śmierci, by błagać o pomstę i pogrzeb.

Zniwo śmierci jeszcze nie ustało w tym mieście. Armia Radziecka poinformowana, o kwaterach niemieców nęka ich ogniem z granatników. Co chwila spada granat z Pragi. Nie w celu zniszczenia padają granaty, piwnice Bristolu zniosą i większego kalibru ogień, ale na znak, na groźne memento: Czuwam i przyjdę.

Patrole krążą dokoła trwożliwie, kryjąc się za wyłomami murów. A metody Alzacczyk stojący u wejścia do kwater składa się co chwila w stronę cieniów co pełzną wzdłuż ruin domów.

Z wytchnieniem ulgi przybiega do

kwatery. Tam między kolegami starać się będzie nie myśleć o tem. Lecz i w gmachu wiatr hula bezkarnie. Wieje przez pozabawione szyb okna, trzaska drzwiami, przynosząc z dworu głosy miasta umarłych...

Tylko z jednej izby świeczką oświetlonej wybiega pijacki głos żołądziej piosenki. To „kwiat” bonu — podoficerowie — przeważnie członkowie partii, raczą się bimbrem przywiezionym z pod Warszawy.

I im udzielił się ten nastrój niesamowity. Jedyne wyjście widzą w pijatyce. Nie chcą myśleć o rzeczywistości, bo nużby zwątpili w „führera”. Piją teraz „Teufelsschnaps” ni by naszą grzankę, zrobioną z bimbru i margaryny. Piją chaustami rozpalony napój, nie wiele im trzeba, by stracili resztę przytomności.

Nocy tej postanowiłem wykonać najtrudniejsze zadanie — zniszczyć skrytkę podłogową, znajdującą się przy ul. K...

Już dawno poczyniłem odpowiednie przygotowania do tej wyprawy, chciałem się tylko dowiedzieć hasła na noc dzisiejszą. Było to znacznie trudniejsze, niż by się na pozór wydawało. Dolewając żołnierzom wódki nagabywałem ich o nie. Byli za bardzo pijani, by powiedzieć. Gwar w izbie wzmagał się proporcjonalnie do wypitej wódki. Osiągnął zenit, gdy w dużym 7-o litrowym naczyniu śladu jej już nie było. Liczne głosy

podobne do bełkotu, domagały się jeszcze.

— Etwas zum trinken — Peter — Hast du noch mehr?

Potężna postać Pluttza osobistego szofera komendanta „Festungs Warschau”, zamajaczyła we drzwiach mego pokoju. Plautz załamywanym głosem pytał mnie czy nie mam czego do picia. Początkowo nie rozumiałem. Berliński jego akcent, łamany czkawką, podobny był raczej do szczekania psa. W końcu domyśliłem się, o co mu chodzi. Owszem, miałem pod ręką, w swej skrytce pod schodami dwie butelki doskonałej „Zubrówki” zapas Bristolu. Powiedziałem jednak chcąc wyostać od niego hasło, że nie ma, ale na dworze dwie minuty od hotelu była restauracja, może znajdę tam coś. Kłamstwo to grubymi było szyte nici, ale on pijanym będąc nie poznał. Ucieszony powiedział mi: „Blüt und Teufel”. „Blüt und Teufel” powtórzyłem. Zaiste nie mogli nic lepszego wymyślić na tę noc Zaduszną. Natura rozszalała i lękająca tam na dworze zdawała się być dobrą ilustracją tego hasła.

Wyszedłem z pokoju pod pozorem znalezienia tych butelek, w rzeczywistości by się przygotować do drogi. Ubrałem się w ceratowy długi płaszcz wojskowy. Efenkę, cacko nie pistolet po sprawdzeniu czy działa, włożyłem do wewnętrznej kieszeni,

Z. Komorowski

To było na Łużycach

Łużyce — dużo się dziś o nich mówi, szczególnie przy kawiarnianym stoliku, lecz mało, jakże mało, pamięta się o tym, że tam na polach pod Budziszynem, w ostatnich dniach minionej wojny, lała się polska krew. Spiewamy o „makach na Monte Cassino”, upajamy się pysznią legendą z pod Narwiku, Lenino i Tobruku, ale nie zapominajmy o tym co się działo tuż, u granic Polski. — Pośród pogodnych wzgórz Górnych Łużyc, spoczywają wiecznym snem tysiące naszych żołnierzy.

Było to przed świtaniem 16 kwietnia 1945 roku — przygotowanie artyleryjskie rozpoczęło ofensywę II Armii W. P. dowodzonej przez śp. Karola Świerczewskiego. Tysiąc armat ukrytych w lesie na prawym brzegu Nissy, otworzyło dwugodzinny huraganowy ogień, na pozycje nieprzyjaciela na drugim brzegu. Równocześnie ruszyły do natarcia piechota, przeprowadzając się przez Nisę, pod miastem Rothenburg.

Pośród nieustannych zaciętych walk, atakowane przez silne formacje lotnictwa niemieckiego, odpierając ciągle kontrataki, posuwały się pułki polskie, wspierane przez czołgi I Korpusu Pancernego, naprzód. Przełamano obronę nieprzyjaciela nad Sprewą, przełamano opór, rzuconego w sukurs Wehrmachtowi, Landsturmowi. Wreszcie, po sześciu dniach ofensywy, szybko poruszające się, dywizje 8 i 9 dotarły w okolice Drezna, koło Pulsnitz, a 7 i 10 walczyły w podgórskim terenie, na południe od Budziszyna (Bautzen). Jasne słońce nad Łużycami świeciło zwycięstwem.

Wtedy to właśnie, Niemcy skupiły wszystkie pozostałe im siły do ostatniego przeciwuderzenia. Jak

wynikało z późniejszych zeznań wziętych do niewoli oficerów, sztab niemiecki wiązał z tą akcją ostatni, rozpaczliwy plan obrony. Skoncentrowane masy czołgów i piechoty, wspierane przez artylerię i lotnictwo, uderzając dwoma klinami miały dostać się na tyły atakującej Berlin Armii Czerwonej i zamknąć w kotle jej gros uderzeniowe. Na przeszkodzie tego planu stanęła II Armia Polska.

Uderzenie niemieckie rozpoczęło się dnia 22.IV, i było tak gwałtowne i zaskakujące swoją furją, że w pierwszym impencie udało się niemieckiemu klinowi pancernemu przeciąć polskie tyły komunikacyjne. Sytuacja stała się groźna. II Armia w olbrzymiej swojej wielkości rekrutowała się z żołnierza niedoświadczonego w boju, nieobytłego z gwałtownością nowoczesnej bitwy. — naprzeciw niej walczyły jednostki doskonale zbrane i wyćwiczone w niemal wszystkich kampaniach ostatniej wojny. A jednak, jej dywizje wytrzymały nieprzyjacielską nawałę. Żołnierz polski, tak jak w partyzancie, w ogniu, uczył się walki frontowej.

Tydzień bez przerwy trwały zacięte walki. Niektóre miejscowości po kilkakroć przechodziły z rąk do rąk. Wyparte przez Niemców kompanie i plutony polskie wracały, z uporem odbierając utracone pozycje. I nic to, że czasem brakło dowództwa, że czasem bombami rozbita artyleria milkła, że niekiedy brakowało amunicji — nic to że 9 dywizja uległa częściowemu rozbięciu, że straty w ludziach były ciężkie — impet niemiecki załamał się.

Nie udało się teutońskim klinom pancernym rozbić II Armii Wojska Polskiego. Po odparciu uderzenia, ruszyła ona do nowego natarcia,

na serce. Przyjemny jej chłód dał mi odwagi. Pudełko zapalek sztormowych (rzadkość przedwojenna) miałem stale przy sobie. Płaska manierka z benzyną i czarny, długi jak makaron proch artyleryjski dopełniały wyekwipowania. Chełm i oskard z doskonałej stali miałem ukryte w ruinach na dworze. Łatarki elektrycznej postanowiłem, acz z żalem, nie zabierać. Korzyść jej mniejsza niż niebezpieczeństwo odkrycia światła przez patrole wojskowe. Byłem gotów! W myśli powtórzyłem sobie jeszcze marszrutę mej wyprawy. Zabrałem butelki. Połtora litra wódki sądzę, wystarczy by ich do reszty zbić z nóg. Wróciłem na górę. Widok jaki ujrzalem przetrzął mnie takim obrzydzeniem, że musiałem odwrócić oczy.

Przeszedłem powstanie, widziałem wiele okropności, ale takiej Sodomy nie widziałem i nie daj Boże, aby oczy moje kiedykolwiek coś podobnego ujrzaly.

W kałuży własnych wymiotów tarzają się ujęci za bary żołnierze... Nie, nie będę tego pisał, choć postanowiłem oddać całą prawdę.

Ukazanie się moje z wódką powitali żołdacy hałasem. Butelki szybko rozbito, ukrećwszy im szyki. Musiałem z nimi wypić. Alkohol przywrócił mi poczucie rzeczywistości. Wymknęłem się cicho.

Wielka przygoda rozpoczęła się...

Kazimierz Kłof

przełamała niemiecką obronę i gnała wroga, aż do ostatecznego zwycięstwa. W pierwszych dniach maja oddziały polskie były już na terytorium czechosłowackim, u wrót Pragi.

Bitwa pod Budziszynem i Dreznem była jedną z największych bitew żołnierza polskiego w tej wojnie. Pokazał się on w niej godnym swojego imienia.

Nie wolno nam dziś zapominać, że tam na łużyckiej ziemi, spoczywają snem śmierci nasi chłopcy. Na starym bolesławowym szlaku, w ofensywie z nad Nissy, walczyli szary żołnierze polscy, w przerwach od boju marząc o swojej Polsce.

O Polsce myślał, choć często nie dla siebie, każdy z nich, obojętne skąd przyszedł — z wileńszczyzny, białostockiego, czy Częstochowy, obojętne, piechór czy artylerzysta, strzelec czy oficer.

I nie jest najważniejszym sam moment śmierci, tych którzy polegli, lecz to, aby ich zgon i cierpienia zrodziły nowe życie. Musimy pamiętać o każdym, bez wyjątku, miejscu gdzie się lała krew Polaków. Albowiem tą krwią był pisany testament dla nas, którzy przeżyliśmy.

Być może, że tamci żołnierze w szarych płaszczach, swoją śmiercią okupili nasze życie — a może tylko pokazali Niemcom, w głębi ich państwa, Polskę zbrojną, wiecznie żywą. Dostyc, że bili się z naszym wrogiem, i że nosili na głowach polskie rogatywki z orzełkami, że serca ich biły po polsku. Oni odeszli. Nie wolno dopuścić, by pamięć o nich zaginęła w Polsce. — To było i będzie.

Z. Komorowski ppor.
oficer b. II Armii W. P.

Stanisław Podlewski

Przemarsz przez piekło

Ostatnie chwile Starego Miasta

Oficer przy władze daje znak. W przerwie między seriami cekaemu powstańcy zaczynają się czoić, jak tylko można najszybciej, a ranni pelżają z największym wysiłkiem na brzuchu lub na wznak. Włoka za sobą obolate kikuty rąk i nóg. Zasypują ich odpryski kamieni i cementu.

Ulica Długa zawałona barykadami huczy od wystrzałów, przewalają się kłęby dymów.

Załoga reduty Matki Boskiej wciąż trwa. Odpiera ataki i niszczy włamanie piechoty nieprzyjacielskiej. Obsada Piata i cekaemu: kapralem Zetką wciąż zmuszona jest zmieniać swoje stanowiska w dymiących ruinach.

Atak samolotów nurkowych roznosi stanowiska powstańcze w Pasażu Simonsa, przy zbiegu Długiej i Nalewki. Grzebie w gruzach wielu ludzi z batalionu „Chrobry I”. Resztę ich przyprowadzają kpt. Konar i por. Krzyżak (Moniak Władysław) do reduty Matki Boskiej.

Pobliski pałac Krasinskich stoi w ogniu. Niemcy atakują mocno od strony ogrodu i gmachu Sądu Najwyższego. Opór batalionu „Parasol” straszliwie skrawionego, został złamany. Wycofuje się w stronę budynku sądu. Mjr Sosna rzuca oddział osłony zandarmerii por. Rysia dla utrzymania pałacu. Oddział ten dostał tego rana do dyspozycji od mjr. Barry.

— Zdamy sobie sprawę — mówi mjr Sosna do dowódcy oddziału — że pan może zginąć, jednak musi pan przynajmniej przez dwie godziny utrzymać pałac, abym mógł wyczołgać ludzi przez kanał.

W kilkanaście minut ginie por. Rys, dowódca tego oddziału. Został zasypany w piwnicy.

Mjr Sosna nakazuje bronić przejścia z gmachów sądu i od strony ghetta. Biegnie z grupką ludzi por. Wilk (Witkowski Jakób). Nagle odnosi wrażenie, jak gdyby go ktoś mocno uścizpiał. Dochodzą go słowa mjr. Sosny:

— I tego mi też wykończyli.

Po chwili czuje, że jest ranny. Przekazuje dowództwo por. Ziukowi (Mroczek). W podziemiu gmachu Archiwum Głównego robią mu opatrunek. Spoztręga go mjr Barry.

— Co, ranny? Marsz do wjazdu.

Ktoś mu pomaga. Dochodzi do przejścia ku wjazdowi. W pobliżu w jakimś budynku usadowili się wyborowi strzelcy. Mają karabiny z lunetą i trzymają dojsie do wjazdu pod nieustannym ogniem. Gdy tylko ujrzą jakiś ruch ożogającego się pod osłoną, kopia z pocisków ekrazytowych. Niejeden tuż przed włazem do kanału zostaje ranny i muszą go wciągać. Jakiś mężczyzna, ojciec rodziny, nieopatrznie ogląda się za siebie, aby zobaczyć, czy dzieci za nim idą. Dostaje w głowę aż mózg opryskuje ściany. Zatarasował swoim ciałem wąskie przejście do wjazdu. Nie można go usunąć z rowu.

Nagle zza sterczących murów domów z potwornym szumem wylatują samoloty. Lecą nisko. Wyraźnie widać białe krzyże, na ciemnych kadłubach. Widać jak od kadłubów odrywają się wielkie cygara bomb, a obserwatorzy machają rękami, klaszczą i śmieją się całą gębą. Wszyscy przypadają do ziemi, tulą się do niej.

Dręcząca cisza jak śmiertelnym całunem okrywa leżących wokół. Raz po raz zrywa się w paroksyzmie wstrząsów głucho dudnienie, sypie się tynk, leca zewsząd odłamki cegieł, drzewa i żelaza. Jest ciemno, nieprzeznikniona zasłona kurzu, dymu i sadzy przysłania wszystko. Płuca ciężko pracują. Zanim kurz opadnie wykorzystuje tę zasłonę jakaś grupka, zrywa się, wprost pędem przez ulice, chyłkiem jeden po drugim, wślizgują się do wjazdu.

PODCHORAŻY PIOTRUŚ

Nieustannie nadlatują samoloty na najbliższy rejon wjazdu do kanału. Lotnicy sieją bombami. Kilka z nich pada na pałac Krasinskich — zabija i rani wielu chłopców z plutonu osłownego Komendy Głównej.

Ciężko ranny jest wachm. Zubr (Jagnierza), stary kawalerzysta z 11 pułku ułanów i jego syn Kurczatko, 15 letni chłopczyna, walczący dzielnie obok swojego ojca. Wachmistrz dowieka się do kwatery pułk. Wachnowskiego.

Około godz. 14-tej słycać przeraźliwe głosy, — Niemcy są w ogrodzie Krasinskich. Wdarli się pod osłonę kurzu.

Rzeczywiście widać ich sylwetki. Zbliża-

ją się do budynku, gdzie znajduje się dowództwo.

Pułk. Wachnowski spokojnie i zimno powiada do otaczających i wpatrzonych w niego, podnieconych officerów:

— Panowie za broń.

Wszyscy chwytają za karabiny, granaty, pistolety. Pułk. Jesion wychodzi pierwszy. Spotyka podchorążych Kamlera Bronisława i Wragę. Jest jeszcze jakiś powstaniec z pełnem. Zajmują stanowiska w oknach budynku i w ruinach, i ogniem z bliska powstrzymują napór Niemców.

W czasie nalotu wśród wielu rannych jest także podchor. Piotruś (Mazur), z plutonu osłownego Komendy Głównej, odznaczony już dwukrotnie Krzyżem Walecznych. Widziano jego smukłą, chłopięcą sylwetkę, bez ramienia, w nawach Królewskiej Katedry, na barykadach i w klasnych ulicach staromiejskich, strzelającego w największym ogniu z jednej ręki i rzucającego granaty.

W okresie konspiracji ten młody chłopiec, przenosząc broń zostaje na ulicy Widok otoczony przez sforę gestapowców. Chroni się do jednej z kamienic. Zaczyna rozpaczliwie się bronić. Położył już kilku Niemców.

Kiedy wystrzelał już wszystkie naboje, słyszy, że Niemcy wdzierają się na klatkę schodową. Śmierć zajażała mu w oczy. Nie chciał umierać. Żył za wszelką cenę, doczekał wałki z okupantem.

Świta mu desperacka, szaleńcza myśl ratunku. Zrobi się rannym. Niemcy od razu go nie zamordują, będą chcieli od niego wydobyć skąd ma broń, a kim pracuje itd. Zabrają go do szpitala, a stamtąd udają się z wiać, a może odbiją koledzy. Szybka jak myśl decyduje. Szybko odbiepieca ostatni granat i rzuca go obok siebie. Straszliwa detonacja wstrząsa domem. Z jękiem leżąszyby. Piotruś leży w kałuży krwi, coraz powiększającej się, ma złamane nogi, poszarpany bok, wybuch oderwał mu nieomal całe ramię, ledwie trzyma się na ścięgna. Z krzykiem dopadają do niego gestapowcy.

Z tryumfem układają go na nosze i zabierają ze sobą.

Naraz jedna z mieszkańek tego domu woła:

— Panowie zapomnieliście ręki, przynosi i kładzie ją obok rannego.

— Dziękuję pani, zdążył jeszcze tylko wyszeptać Piotruś, uśmiechnął się do niej i stracił przytomność.

Gestapo obiecuje wiele od niego wyciągnąć. Umieszczają go w szpitalu. Czuwa nieustannie przy nim policjant granatowy. Codziennie zjawiają się w szpitalu agenci z Al. Szucha i dopytują się o stan jego zdrowia. Chcą rozpocząć badanie, jak tylko stan zdrowia na to pozwoli.

Towarzysze broni i przyjaciele poruszili wszystkie sprężyny, ażeby go wyrwać ze szponów Gestapo.

Wśród personelu pielęgniarskiego jest sanitariuszka Hanka, córka oficera W. P. należąca do organizacji podziemnej. Trzeba przede wszystkim na jakiś czas odłożyć odbicie.

Ileokroć zjawia się do szpitala Gestapo, siostra Hanka czyni mu dożylny zastrzyk, które w ciągu kilkunastu minut podnoszą temperaturę ciała do 40°, — gestapowcy powracają z niczym. Lecz ta niebezpieczna gra może udawać się tylko do czasu.

Lecz niebiosa ulitowały się nad tym, bohaterem chłopcem.

W tym czasie udaje się wyrwać z murów Pawliaka jego przyjacielowi Ranowi (Klepacz Julek), jednemu z najdzielniejszych żołnierzy Polaki Podziemnej. W czasie pobytu swojego na Pawliaku, w tej bastylli warszawskiej i krwawej kaźni, redaguje on i wydaje pismo konspiracyjne „Pawliak”. Jest ono odbijane przez kalke, na bibule i podawane z celi do celi. Wyszło tych numerów kilka. Ogrom trudności szaleńczego ryzyka i doniosłości, tego przedsięwzięcia może tylko zrozumieć, odczuć i ocenić ten, który kiedyś przebywał w murach Pawliaka. Po swoim uwolnieniu ani chwili nie myśli o swym wyczynie i bezpieczeństwie. Z miejsca przystępuje z nadzwyczajną energią i pomysłowością do odbicia swojego przyjaciela. Zbiera kilku swoich towarzyszy, najważniej-

szą rolę bierze na siebie. W zuchwałej eskarpadzie udaje się wyrwać Piotrusia.

Nie było danym Ranowi doczekać chwili rozprawienia się z wrogiem, na krótko przed powstaniem padł w walce.

W LABIRYNCIE KANAŁÓW

Nieomal nieprzerwanie od trzech dni i nocy czoić się powstańcy do wjazdu. Po kilku klamrach wglębiają się w czarną przepaść, licząc około osiem metrów. Nagle oczy gubią blask słońca, a uszy ujadanie broni, eksplozje i detonacje, a nogi zamurzają się w coś zimnego, niemitęgo, jakżeś prąd przechodzi przez całe ciało. Uświadamiają sobie, że są w labiryncie kanałów ściekowych starożytnego miasta. Wokół nóg czują i słuchają płaski warfko płynącej wody. Nerwy odprężają się od huków i wałki. Dziwnie uczucie ulgi. Wydaje się każdemu, że jest już ocalony. Przynajmniej nie zginie od bomby, nie dosięgnie go wybuch granatu, nie zapałają podmuch salwowego mózdzierza. Lecz ten stan nie trwa długo. Ta cisza zamiast uspokajać, zaczyna teraz wzniecać dotworny lęk, przed nowym nieznanym niebezpieczeństwem.

Za chwilę znów inne uczucie ogarnia każdego. Niektórzy ze stojących trzymają w rękach zapalone świece, jakieś kaganki i żółte gromnice, które zwykle dają konających. Teraz trzeba je gasić. Śwad tych kaganików, kopeć świec i gromnic, półmrok panujący wokół, ziemiste ściągnięte twarze, skrócone bólem i rozpaczą, oczy zmienione i straszliwe, stwarzają nastrój łączący nas ze światem zmarłych. Kojarzy się w wyobraźni z kufalkiem, z kaplicą cmenterną i trupiarnią. Uczucie to chwytają się za bary z niezmożoną wolą życia. Przecież ci wszyscy przez szczyt cierpienia, pragną ujęć śmierci.

Przychodzą dręczące myśli. Wspomnienia wżary się cierniem w mózg i szarpiają pazurami na wszystkie strony. Kilka dni temu weszła do kanału grupka powstańców. Szli na Żoliborz. Niemcy puścili wodę, zatopili kanały. Wszyscy znaleźli śmierć, a silny nurt porwał trupy i poniósł do Wisły. Kiedyś wrzucili do kanałów karbid. Wpuszczają jakiś płyn żrący ludzkie ciało. Kiedyś indziej jeszcze wlałi benzynę. Pałaca się ognista lawina w wąskim korycie kanału zniszczyła wielu ludzi. Dajś może tego unikną. Tyle już przedcierpieł, odbył pokutę za swoje najcięższe winy i grzechy. Wyprowadzi ich Matka Najświętsza i Andrzej Bobola, męczennik i patron odrodzonej Ojczyzny. Zbielałe usta szepczą słowa litanii. Nikt tu nie wstydy się modlić, błagać i prosić o zmiłowanie, o litość i opiekę. Słycać „Pod Twoją Obronę...”. Wypełniony ludźmi kanał wzdycha, szepcze, brzęczy nawojuwaniami, jak w ulu, tętni, jak wezbrana krwią żyła. Naraz łomot, krzyk i przekleństwa. Co się stało? Jakaś tęga kobieta ześlizguje się z klamer i całym ciężarem spada na głowy i ramiona stojących.

Ktoś wybucha histerycznym śmiechem, ktoś inny woła sanitariuszki.

Ani na chwilę nie przestają wchodzić do kanału.

— Antek trzymaj się powietrza, a jak upadniesz to przyjdź do mnie, to cię podniosę — dowcipkuje dwóch dobrze podpiitych powstańców. Naraz przejmujący głuchy jęk tłumionego bólu zatyka czeluście wjazdu i bije o ściany kanału, jakgdyby chciał je rozsadzić.

Oto spuścili spętane bandarzami bezwładne ciało ciężko rannego powstańca. Rozkładają nosze. To żołnierze chcą unieść swego ciężko rannego dowódcę. Sami mają oban-darowane ręce, głowy. Czy dopiszą im tylko siły, czy doniosa. W kanale tworzą się kolumny marszowe, długi, długi wąż. Od czoła ostrzegają, aby iść jaknajciszej. Wszystko od tego zależy. Trzymać się linki.

WAŻ RUSZA

Rannych jest wielu. Ledwie mogą poruszać się o własnych siłach. Major Zawisza, ran-

ny w nogi, opiera się z największym wysiłkiem o laskę. Nie może zginać nóg, a tylko sztywnie posuwa po dnie kanału, naprzemian pchany i wleczony przez łączniczkę Romę i podchr. Groma. Dalej kroczy mjr. Berlach. Ma rękę na temblaku i rany od 28 odłamków granatu. Łącznik Andrzej (Zaidler) i małżonka majora Ewa, stają się go prowadzić. Wielu idzie jak pija, opierają się rozłożonymi rękami o śliskie ściany kanału, nieustannie zataczają się u-suwają w cuchnący mąż.

Człowiek w ponurym milczeniu duża grupą jeńców Wehrmachtu, zwierzęco zarosnięci i brudni. Zdają sobie sprawę, że gdyby w ciemnościach rozległo się niemieckie słowo, przy tak gromadnym podnieceniu umysłów rozerwaliby ich w strzepy, zanim zdolaliby wyjaśnić, że są jeńcami.

Przed chwilą wyruszyła długa kolumna. Prowadziła ją młoda dziewczyna z Armii Krajowej. Przemierzyła tę przestrzeń kilka razy. Przewodnikiem tej grupy jest urzędnik Miejskiej Kanalizacji i Wodociągów. Ludzie są tak pomęczeni i osłabieni, że opierają się o śliskie i kleiste ściany kanału.

Wielu, gdy tylko kolumna zatrzyma się od razu siada w błocie. Zaczerwienione i zmęczone oczy zaraz zachodzą mgłą snu. Przewodnik daje znak światłem latarki. Wąż porusza się i sunie do przodu. Idą schyleni, zgarbieni, jedni za drugimi, trzymając się kurczowo za ubrania, za ręce, za plecak, jak komu wygodniej. Niektórzy trzymają się linki, czy kabla polowego. Wszyscy są zapatrzeni w migające w przodzie, po sklepieniu rachityczne światelko przewodnika, które jak błędny ogień w noc letnią na moczarach ukazuje się, to znów znika.

Starają się iść cicho. Niedawno Niemcy rzucili wiązki granatów. Padło kilku ludzi. Bardzo trudno jest iść cicho. Woda sięga po kolana, a czasem i wyżej. Coraz to pod nogami napotyka się na coś miękkiego, elastycznego i bulgocącego. Napewno to nie błoto. Nie tylko porzucone tobolki, czy ekwipunek powstańców, ale ciała tych, którzy padli i nie doszli.

W pewnej chwili kanał zwięża się. Nie mogą dalej nieść rannego na noszach. Kładą go na kocu. W czasie marszu koc opada, to znów podnosi się. Ciężko ranny co kilka kroków zażywa przymusowej kąpieli w ściekach kanałowych. Przemokły bandarze brudem, rany pałą i pieką, jakgdyby ktoś dotykał rozpalonym żelazem. Koc w krótkie rozłazi się w strzepy. Biorą więc rannego na swoje barki i wloką się z nim.

Lecz siły ich opuszczają, dostają zawrotu głowy. Opuszczają rannego w błoto, kolumna się zatrzymuje, zatarasowana jest dalsza droga. Odzywają się głosy, aby ktoś pomógł nieść rannego. Nikt nie zgłasza się, jeden z powstańców w najwyższej rozpaczce wyjmuję pistolet i prosi, po czym grozi: będzie bez pardonu strzelał, jeżeli ktoś ośmieli się odmówić. Zgłasza się na ochotnika. Na zmianę mają nieść rannego, a raczej wleć.

Mija długa, jedna i druga godzina. Ktoś próbuje się orientować. Przechodzą już pod Miodową, Krakowskim Przedmieściem. W pewnej chwili mjr. Zawisza, idący ostatkiem sił, traci z oczu światelko i nic nie widzi. Czuję przed sobą pustą ciemną przestrzeń. Zanim idzie cała kolumna. Słycać tylko monotonne pluskanie wody pod nogami. Staje się mimowoli jej przewodnikiem. Urasta w nim żołnierska świadomość, odpowiedzialności za życie tylu ludzi. Może zabłądzić w tym labiryncie, wówczas czeka ich niechybna śmierć z głodu lub od granatów niemieckich.

Major laską próbuje uderzać o ściany, tak jak to czynią niewidomi na ulicach. Jeśli natrafi na twardość i usłyszy dźwięk, wyduje mu się, że idzie dobrze. Wytycza wzrok, pęten napęcia nerwowego i bezskuteczny wysiłek. W pewnej chwili laska grzęźnie w pustce. Ogarnęła go obawa, że zabłądził, że wpada w przepaść, zapala zapalnik. Ukazuje się długi labirynt kanału, jak lufa karabiny oglądno pod słońce.

Czytelnik uważa, że...

W niniejszej rubryce drukować będziemy wypowiedzi i opinie naszych Czytelników na wszelkie zagadnienia życia współczesnego, politycznego, społecznego, gospodarczego i kulturalnego. Wypowiedzi winny być opatrzone imieniem i nazwiskiem lub pseudonimem (w tym wypadku nazwisko winno być podane do wiadomości redakcji) oraz nazwą miejscowości. Wypowiedzi nie powinny przekraczać 50 wierszy druku. Ze względu na brak miejsca, redakcja zastrzega sobie prawo przeprowadzenia ewentualnych skrótów z zachowaniem pełnego sensu nadesłanych listów.

DO REDAKCJI „DZIŚ I JUTRO“

W związku z drukowaniem się „Przemarszu przez piekło” otrzymuję nieustannie pytania o uczestników walk powstańczych w staromiejskiej dzielnicy. Na niektóre nie jestem w stanie odpowiedzieć, to też pozwolę sobie opublikować w najmniejszych wyjątkach, może ktoś z Czytelników będzie mógł udzielić informacji i nadesłać je na adres redakcji.

Pani Żurawicka Irena (Lębork, skrzynka poczt. Nr 8) zapytuje o swojego siostrzeńca, uczestnika powstania. Pseudonim Ursus. Nazwisko Władysław Brezon, urodzony 9.V.1925, walczył w zgrupowaniu „Broda 53”, batalion „Zośka”, pluton „Alek”. Wstąpił do akcji na Starym Mieście 16 sierpnia 1944 r. Czwartego września widziano go na Świętokrzyskiej.

Pani Lotońska (Włochy, koło Warszawy, Jagiellońska 7) zapytuje o swoją córkę Barbarę, pseudonim Brewda. Widziano ją na Starówce, Długa 29. Po przyjeździe do Śródmieścia była na ul. Żurawiej i odtąd ślad jej zaginął.

Dr Niklewski Roman (Rogoziniec, poczta Zbąszynek) — pisze: „Pseudonim mojej córeczki Barbary Niklewskiej brzmiał Wanda a nie Zosia, jak myślnie podałem. Walczyła w szeregach batalionu „Zośka” lub „Mioła”.

Pan K. Stępień (Dolny Śląsk) walczył na Starówce w batalionie „Wigry” i zapytuje czy istnieje jakieś zrzeszenie członków b. „Konfederacji Narodu” lub uczestników walk na Starówce, gdzie możnaby dowiedzieć się o losach kolegów.

O członkach b. „Konfederacji Narodu” może Pan dowiedzieć się w naszej redakcji.

Pan Hipolit Zatwardziały (Łowicz) zapytuje o sierżanta Malarza, z batalionu „Bończa”, dzielnego obrońcę zamku królewskiego, zabitego na Brzozowej. Chciałby dowiedzieć się o jego nazwisko i rodzinę i jego udział w walkach na Starówce.

Pani Helena Kowalewska (Częstochowa) zapytuje o podchor. Ziutka. Wiemy, że walczył na Starówce w zgrupowaniu „Leśnik”. Zginął w gmachu państwowej Wytwórni Papierów Wartościowych w końcu sierpnia. Zachowało się kilka jego wierszy. Nazwiska jego dotąd nie udało mi się ustalić. Też chciałbym zebrać jak najwięcej faktów z jego życia, konspiracji i walk.

Pan Henryk Pyda (Warszawa, ul. Czerwonego Krzyża Nr 14) poszukuje swojego brata Jerzego, urodzonego 16.VIII.1922, pseudonim „Lunicz”. Walczył w Żoliborzu w grupie kpt. Maja (?).

Wszystkim moim PT. Czytelnikom serdecznie dziękuję za miłe słowa uznania i zachęty.

Stanisław Podlewski

DO REDAKCJI „DZIŚ I JUTRO“

Powróciłem do Polski w sierpniu b.r. z Brukseli, gdzie od ukończenia wojny spędziłem 14 miesięcy, lecząc w szpitalach następstwa kontuzji mojej, doznanej w niewoli u Niemców. Uczestniczyłem w walkach powstańczych w Warszawie — 1.8 — 5.10.1944 r.

Przy kapitulacji oddziałów powstańczych w dn. 5.10.1944 zostałem wzięty przez Niemców do niewoli w składzie 15-go pułku piechoty. W niewoli tej pozostawałem jako jeńiec wojenny do końca wojny, przebywając w 6 obozach jenieckich, a mianowicie: Lamsdorf, Lucken-Walde, Sorau, Fürstenberg, Verder i Brandenburg. W tym ostatnim obozie — przy bombardowaniu miasta Brandenburga, byłem przywalony rumowiskami zombardowanego budynku szpitala dla jeńców wojennych, w którym wtedy z powodu osłabienia i wyczerpania znajdowałem się.

Przywalenie to, izolując mnie od następnych pocisków, uratowało mi życie, został jednak wtedy kontuzjowany.

Gdy po ataku bombowym mnie odgrzebano i przywrócono do przytomności, to pierwszy odbłyś świadomości mojej nastąpił w chwili, kiedy uprzytomniłem sobie, że stojący przy noszach, na których leżałem, kapłan Włoch, udziela mi Sakramentu Ostatniego Olejem Świętym Namaszczenia.

nia. Jak wspomniała i pełną niewysłowioną radości i ukojenia była to niezapomniana przeze mnie chwila.

A stało się to w dniu Wielkiej Soboty w godzinach rannych 31 marca 1945 r.

Poza własnym wielokrotnym w czasie powstania ocaleniu w bardzo niebezpiecznych sytuacjach, byłem świadkiem wielu innych ocalań. Byłem też świadkiem widomego cudu ocalenia całego oddziału powstańczego wraz z dowództwem tego oddziału, do którego to oddziału i ja należałem. W związku z tym cudownym ocaleniem, złożyłem wtedy pewne ślubowanie.

A było to tak. Po półtora miesięcznych bezskutecznych usiłowaniach niemieckich zburzenia naszego punktu (Marszałkowska 125) udało się im wreszcie w drugiej połowie września, któregoś dnia, przed wieczorem, wzniesić bombami zapalającymi pożar zabudowań przy ul. Zielnej, sąsiadujących tak blisko z naszym składem amunicji, że tylko cud mógł ocalić ten nasz skład, w którym w dodatku znajdowało się kilkaset flaszek benzyny, przystosowanych specjalnie do podpalania czołgów nieprzyjacielskich.

Wraz ze składem byliśmy i my wszyscy skazani na zagładę. I oto w chwili naskrytyczniejszej, widzę jak dotychczasowy kierunek wiatru został pod widome ostrym kątem zmieniony.

Zawołałem do otoczenia: „Patrzcie nu cud!” A stojący obok oficer powstaniec odpowiada mi na to: „Tak,

ma kolega rację, że to jest cud, bo będąc meteorologiem od wielu lat swej pracy obserwatorium nie zanotowałem jeszcze wypadku, by w Warszawie wiał wiatr w tym kierunku w jakim on teraz wieje.

I oto wtedy złożyłem ślubowanie, że po wojnie dołożę wszelkich starań, by została wybudowana świątynia poświęcona pamięci **męczenników powstania sierpniowego**, w której to świątyni miałyby być odprawiana przynajmniej raz w miesiącu Msza św. za dusze wszystkich poległych w czasie wojen Polaków, a druga msza św. — przynajmniej raz do roku za te osierocone dusze poległych, którzy w czasie wojny poiracili wszystkich krewnych i przyjaciół i wskutek tego nikt się za nich tu na ziemi nie modli.

O tym ślubowaniu moim powiadomiłem J. E. Biskupa Polowego Ks. Gawline.

Meldując o tym ślubowaniu moim, jestem pełen wiary, że gdybym przed śmiercią nie zdążył ślubowania zaślubić, to będzie ono przekazane do wykonania przez innych ludzi dobrej woli, którzy nie dopuszczą, by chwala Boża doznała uszczerbku przez niewybudowanie świątyni — narazie może kaplicy w miejscu, z którego chwaliliśmy Boga przy codziennych Mszach św. w czasie powstania (Marszałkowska 125) lub w miejscu (Szpitalna 12), gdzie zginął nasz opiekun duchowy — porwacz serc naszych ks. kapłan „Corda” (pseudonim), a zginął tak tragicznie że odnaleziono wśród gruzów tylko

tułów w sutannie, głowy zaś nie odnaleziono. Ks. Corda nie posiadał podobno rodziny. Na imię miał Wiktor, Nazwiska prawdziwego nie znam. A może, o ile to nie zostało już zrobione, byłoby wskazane poruszyć w prasie katolickiej pamięć tego powstańca, że tak powiem, zdwojonego rytu, który, pełniąc do ostatniej sekundy swego życia obowiązki duszpasterstwa, zginął na posterunku jako najlepszy obywatel swej Ojczyzny. Mógłbym służyć materiałem dla artykułu w prasie poświęconym jego pamięci.

(—) Leonard Kulczycki.

LIST OTWARTY DO P.

ZYGMUNTA JAKIMIAKA

autora artykułu „O dwóch księżkach Walentego Majdańskiego”.

Nie zamierzam polemizować z Pańskim artykułem, ponieważ wyraża Pan w nim o wiele więcej upodobań, niż poglądów, a o gusty spierać się nie można. Np. „wołałem i wołę babę wiejską przy udoju, w gnoju, brudną, spoconą...”. Ja osobiście wolę (i prywatnie i — że tak powiem — publicznie) kobietę wiejską czysto umytą, ba, nawet wykapaną. Zamiasz importować z Rosji ustawy przeciw poronieniom (które — jak wykazała praktyka — nigdy, nigdzie nie skutkowały) lepiej by Pan sprowadził stamtąd zakomity, rosyjski zwyczaj łaźni w każdej wsi. Ale Pan ma pilniejszą sprawę — musi Pan podnieść śmiertelność niemowląt. Podnieść tym bardziej, że jako człowiek wychowany w warunkach „ani eugenicznych, ani higienicznych” nie uznaje Pan potrzeby higieny ani eugeniki. I słusznie. Dziecko nie może się nie urodzić, ale umrzeć w brudzie z zakażeń — dlaczego nie? Nie o to mi jednak chodzi — i nie o to, że chce Pan kobietę polską uwolnić od „nikczemnych wpływów”... „wychowania publicznego” i „oświaty”. (Wyrzynam z kontekstu, bo nie mam nic przeciw likwidacji pornografii, przeciwnie nawet. Ale stoi u Pana jak wół: „uwolnienie od nikczemnych wpływów... niewłaściwego, paczącego jej poglądy wychowania publicznego i oświaty”). Pańscy poprzedenicy, wrogowie Komisji Edukacji Narodowej, też burzyli się na wprowadzenie przez tę błogosławioną instytucję po raz pierwszy w Europie wychowania szkolnego dziewcząt na równi z chłopcami.

Nie chodzi mi o to wszystko, bo człowieka rozumnego Pańskie zdania nie przekonują, a na nierozumnych rady nie ma. Nierozum jednak musi mieć pewne granice — choćby tak rozległe, jak granice Państwa. I tu się zaczyna najwżniejsze.

Poszę przyjąć do wiadomości, że brak w ogóle parlamentarnego wyrażenia dla określenia następujących zdań: „Majdański porównywa Polskę do Oświęcimia. No, przesada. Oświęcim stał dużo dalej pod względem moralności”. „Nie można dyskwalifikować (!) Oświęcimia porównaniem go z dzieciobójstwem”. („Dzieciobójstwem” nazywa Pan zresztą i zapobieganie ciąży!).

Szanowny Panie — niemieckie pisarki spod znaku Adenauerowskiej chrześcijańskiej demokracji, najzacieklej nierawidzającej Polski i najzacieklej napadającej na nasze granice, najupercywiej walczącej z samym pojęciem winy Niemiec — czekają na takie zdania. Za przytoczone wyżej — ogniołub Pana. (O ile rozumiem — to dla Pana synonim „ożlocenia”). Z drżeniem czekać będą na odpowiedni artykuł w „Neue Zeit” pod wielkim nagłówkiem: „SAMI POLACY PRZY-TNAJA, ŻE POLSKA STOI MORALNIE NIŻEJ OD OŚWIECIMIA!”. A już uczciwiego cytowania niech się Pan po tej storze nie spodziewa.

Można być maniakami, można wołać gnoj od mydła, można nie widzieć niczego, co się dzieje na świecie oprócz własnego t.zw. popularnie „krećka” czy „bzika” — ale, gdy się ktoś odważy pewne rzeczy drukować, trzeba mieć poczucie odpowiedzialności.

Pomijając już Pański wywód, że z siedmiu mórg chłop może wykształcić dziesięciorgo dzieci, a dla nieco mniejszej rodziny — cztery morgi wstarcza (finansanci nazywali dotąd takie gospodarstwo — k a r t o w a t y m) tę jedną przestrożę z wyrazami poważania przesyła Panu

(—) Andrzej Józef Kamiński

P.S. Mam odrobine nadziei, że nie zrozumie Pan tego listu w tym sensie, że popieram sztuczne poronienia!

Szeroki horyzont

Marokko zagrożone

Szwajcaria, jak to już zaznaczaliśmy na tych szpaltach, jest dziś widownią świata. Można stąd swobodnie śledzić przebieg wydarzeń, na czterech głównych kontynentach. Świat zaś stał się tak mały, że daje się użyć jako scena — jednego dramatu, kryzysu cywilizacji śródziemnomorskiej, potocznie zwanej europejską. Z nią to solidaryzują się bezwzględnie dziennikarze szwajcarscy, często przeciw komunistom — nierazko przeciw Stanom Zjednoczonym Ameryki Północnej.

Odbiciem podobnych nastrojów jest korespondent z Marokka, Fryderyk Barbey, wysłannik „Journal de Genève”, w nr. z 1 i 3 lipca tego pisma.

Wyraża on na wstępie swej korespondencji obawę, że we Francji niedoceniana niebezpieczeństwa, w którym znalazła się w pierwszej połowie kwietnia cała kolonia francuska w Marokku, tak urzędniczy jak koloniści, prości robotnicy i wielcy przemysłowcy. Groził im wybuch rewolty, który by zasłochył rząd francuski, jak go zasłochył rewolty w Tonkinie i na Madagaskarze.

Aby uzasadnić swój pesymizm Barbey daje krótki rzut historyczny na przebieg wydarzeń w ostatnich latach.

Stałym zadaniem rezydentów generalnych Francji w Marokku jest walka z głodem, chorobami, śmiertelnością niemowląt wśród tubylców. Gdy przed kilkoma laty przybył do Marokka rezydent generalny Gabriel Riand, trudności, z którymi się spotkał były wyjątkowo ciężkie. gdyż Marokko właśnie przeżyło dwa lata zupełnie niebywałej suszy. Dołączyły się do tego trudności innej natury: sultan wykorzystując pogorszenie się międzynarodowej sytuacji Francji, postanowił rozluźnić krepujące go więzy protektoratu, opierając się przy tym na rzeczywistym lub przez niego urojonym poparciu mocarstw zainteresowanych w osłabieniu wpływów Francji w Afryce. Tej polityce sultana sprzeciwił się Ruant skutecznie i zmusił go do skorygowania swego stosunku do protektora. W krótko jednak potem sultan pojechał do Paryża i tam swemi intrygami doprowadził do odwołania rezydenta. Następcą jego p. Labonne postanowił być ostrożniejszym. Może być zresztą, że otrzymał formalne instrukcje

liczenia się z sultanem. W stosunku do tubylców rozpoczęto wtedy szeregową politykę: w dziedzinie aprowizacji stworzono dla nich wyjątkowe warunki, a na inne przekroczenia przez nich dokonywane również zamykano oczy. Jednocześnie rezydent przygotował plan intensywnego uprzemysłowienia kraju i wykonania całego szeregu robót publicznych, niewątpliwie celowych — nawet, podkreśla Barbey, koniecznych, ale które przy zaprojektowanym niezłocznie szybkim tempie, będą wymagały olbrzymiej robocizny, co będzie miało jako skutek ściąganie ludności wiejskiej, do miasta i wytworzenie licznego proletariatu, który w przyszłości nieraz da o sobie usłyszeć.

Już dziś, zapoczątkowane roboty, zapowiedź wysokich płac, ściągnęły do najbliższych okolic Casablanki liczne rzesze robotnicze, które z rodzinami ulokowano w szalaszach rzecinowych, bez kanalizacji, bez najprymitywniejszych sanitarnych zabezpieczeń. Ośrodkami te są rozsądnikiem chorób, są niegodne naszej cywilizacji, przygotowują materiał do ingerencji w obronie pokrzywdzonych.

Jednocześnie mają miejsce wypadki związane z Viet Minh rozszerza się działalność Ligi Arabskiej w Kairze, a przede wszystkim francuska partia komunistyczna owarcie popiera dążności separatystyczne w Marokku. W tych warunkach wystarczyło działalności nielicznej grupy adwokatów, profesorów i studentów arabskiego uniwersyteitu w Fezie, aby stworzyć podstawy dla marokańskiej partii wolnościowej Istikhal, odpowiednika tuniskiej Destui i algerskiego stronnictwa Wolności. Istikhal otrzymuje rozporządzenia od Ligi Arabskiej, od Wielkiego Mufti, w Jerzolimie, (zawziętego wroga Anglików i Amerykanów). Ale na tem nie koniec. Wiele się mówi, stwierdza p. Barbey, w pewnych kołach francuskich w Marokku, a szczególnie w stolicy, o zachętach, jakie otrzymywał ten ruch ze Stanów Zjednoczonych. Osobiście uważa Barbey, że w tych pogłoskach jest przesada, niemniej, należy pamiętać, że Stany Zjednoczone nie podpisały układu w Algesiras i często to przypominają.

Konferencja w Algesiras, warto to może przypomnieć szerszej publicz-

ności polskiej, w obecnych czasach niezliczonych konferencji międzynarodowych, miała miejsce w początku 1906 r. po wizycie Wilhelma II w Tangerze. Zwolanie jej było triumfem niemieckiej dyplomacji, a celem jej miało być uroczyste przekazanie władania Marokkiem. Konferencja była zasadniczo dla Francji — Anglia w skutkach jednak stała się triumfem dyplomatycznym Francji — Anglia mocno Francję poparła. Rosja i Włochy po wahaniach, również za tezę niemiecką wypowiedziały się, tylko Austria i Turcja. Rezultatem rzech miesięcznych dyskusji w ślicznym góskim, hiszpańskim miasteczku było — poza wzmocnieniem Entente'y — przyznanie wyraźnego pierwszeństwa Francji i umożliwienie jej dalszego opanowania Marokka, dzieła dokonano przede wszystkim przez marszałka Lyautey.

Dzisiaj Stany Zjednoczone sądząc z tego, co pisze p. Barbey, rozwijają w Marokku dużą działalność handlową.

W takim to „klimacie” sultan, po dłuższej opozycji w stosunku do działalności rezydenta, pojechał do Tangaru i tam wygłosił przemówienie, wyraźnie kwestionujące prawo protektoratu. W rezultacie rezydent generalny Labonne, został odwołany, na jego miejsceznaczony został generał Juin. Ma to oznaczać nawrót do francuskiej polityki mocnej ręki w Marokku.

Czy będzie ona możliwa, w chwili gdy we Francji toczy się to, co pisma szwajcarskie nazywają nową bitwą o Francję?

To co w tej chwili odbywa się we Francji, pisma szwajcarskie zgodnie określają jako kryzys rewolucyjny. „Thorez jest silniejszy, bardziej wpływowy od Ramadier, stwierdza między innymi Jacques Freymond, w „Gazette de Lausanne”, z 7 lipca.

Gdyby komuniści francuscy chcieli zdobyć władzę, mogliby w każdej chwili to zrobić — jeżeli tego nie robia, to dlatego, że wola mieć władzę legalnie — a w nielegalność zepchnąć przeciwnika. Przeciwnik temu oczywiście broni się Ramadier. Decyzje powzięte na Konferencji Paryskiej mogą go zachęcić w opozycji, spekuluje publicysta gazety Lozańskiej. Czy się to uda, wydaje mu się jednak wątpliwym.

Jakaż może być wtedy rola generała Juina w Marokku? K. K.